

## D KROPKA COLIN

Każdy, kto choć raz spotkał Hope Lanstor, mógłby uważać jej życie za spełnienie marzeń. W wieku zaledwie dwudziestu czterech lat była posiadaczką najlepiej prosperującej w kraju firmy eventowej, miała na koncie kilka milionów, wiernych przyjaciół Sama i Alison przy boku, stary, pięknie wyrestaurowany zamek pod miastem, w którym mieszkała wraz ze swoim ukochanym, starym niczym ich pałac, kamerdynerem Sajmonem, nazywanym przez nią wujem i równie sędziwym dogiem niemieckim, Luciusem. Ponadto była prezesem fundacji charytatywnej „Do Dzieła”, w której zbierano pieniądze dla najbardziej potrzebujących dzieciaków. Jej rodzice, dwoje niesamowicie inteligentnych i najsympatyczniejszych ludzi, jakich nosiła ziemia, również pozostawili jej niezły spadek pod postacią kolejnych milionów i przeświadczenia, że kochali ją najbardziej na świecie.

Tak, życie Hope mogłoby uchodzić za przykład idealnego. Mogłoby, ale dopiero od dwóch lat, Hope tak właśnie je postrzegła.

Jako siedemnastolatka wylądowała w szpitalu z ostrą anginą i gorączką o wysokości czterdziestu stopni. Prawie umarła lekarzom na o wiele za dużym dla niej łóżku, nim zorientowali się, co jej dolega. Diagnoza była straszna. Do dzisiaj pamiętała łzy Sajmona i jej przyjaciół, jakie wylewali na korytarzu szpitala, nim ze sztucznymi uśmiechami, wchodzili do jej sali.

Wyrok? Ostra białaczka limfoblastyczna. W skrócie ALL.

Pierwsza chemia nie przyniosła zadowalających efektów. Druga nie okazała się lepsza. Do chemioterapii dodano radioterapię, ale i to nie wskrzesiło jej popapranego organizmu i nie dało mu kopa do podniesienia się na równe nogi. Po chemiach i radioterapii lekarze nie dawali jej zbyt wielkich szans na przeżycie. Pamiętała, jak Sajmon mówił jej o tym w szpitalnej salce niemal dławiąc się łzami a Lucius, jakby wiedział, co się dzieje, leżał w jej nogach, skomląc cicho i szturchając ją, co jakiś czas mokrym nosem. Miała przeżyć kilka tygodni, góra dwa lub trzy miesiące.

I wtedy nastął cud.

W krainie lekomanii, gdzie wszelkie eksperymentalne leki przynosiły rezultat jeden do miliona to właśnie ona została uhonorowana nagrodą „Jednej na milion w terapii CTL019”. Kilka tygodni później wstała o własnych siłach i poczłapała w towarzystwie Sajmona oraz Luciusa do ich luksusowej limuzyny, którą odjechała do bajecznego pałacu rodziców.

Niestety, w wieku dwudziestu lat choroba powróciła a Hope ponownie znalazła się na szpitalnym łóżku z wypadającymi po kolejnej chemii i radioterapii włosami. Ale i wtedy okazało się, że ma na swoim koncie odrobinę szczęścia do wykorzystania. Znalezione dla niej obcego dawcę szpiku kostnego, przeprowadzono przeszczep, który przyjął się w całości i po kilku miesiącach spędzonych na zamkniętym oddziale mogła w końcu wrócić do żywych.

Cóż, ślepego szczęścia nie można było jej pozazdrościć, ale cieszyła się, iż chociaż tyle dostała w darze od losu.

Otwierając na oścież drzwi lśniącej limuzyny, Hope po raz ostatni poprawiła burzę rudych loków, jakie niesfornie kręciły się i wymykały z upięcia w ten parny, sierpniowy poranek. Strzepnęła

niewidzialny pyłek z ołówkowej spódnicy w kolorze fuksji i stuknęła palcem w oddzielającą ją od szofera szybkę, która w mgnieniu oka opuściła się na dół, ukazując w okienku poważną twarz Thomasa.

— Zrób sobie przerwę, Thomas — zawołała z jedną nogą na chodniku. — Jak tylko skończę, zadzwonię po ciebie.

— Tak jest — odparł, czekając, aż wysiądzie.

Jak tylko znalazła się przed głównym wejściem do szpitala St. Marry w Inverness, najpiękniejszym mieście Północnej Szkocji, limuzyna odjechała z podjazdu, zostawiając ją samą. Mimowolnie po plecach Hope przebiegły ciarki. Była zdrowa, ludzie w tym szpitalu byli jej jak druga rodzina, ale mimo wszystko wspomnienia tych długich miesięcy wypełnionych bólem i łzami jej ukochanych ścisnęły jej żołądek, gdy tylko pojawiała się w pobliżu kliniki.

Biorąc ostatni wdech, po raz kolejny poprawiła mankiety białej koszuli oraz pasek torebki i szybko przekroczyła próg. Od razu uderzył w jej nos tak znajomy i mało przyjemny zapach szpitala charakteryzujący się smrodem leków, chemikaliów i środków dezynfekujących. Musiała przystanąć, by nie zemdleć. Przypominało jej to zapach śmierci. Właśnie tak ona pachniała.

Hope weszła do jednej z wind, cisnąc się w niej z kilkoma innymi pacjentami, lekarzami i odwiedzającymi, czując, jak z każdym pokonywanym piętrzem kliniki, jej serce podskakuje o kilka centymetrów wzwyż jej ciała, by na docelowym piętrze onkologii znaleźć się gdzieś koło jej gardła. Wychodząc na korytarz, nie skierowała się w lewo na onkologię dorosłych, jej nogi poniosły ją na prawo do oddziału onkologii dziecięcej, gdzie zawsze przesiadywał jej lekarz i dobry przyjaciel Emanuel Johanson. To tam zawsze omawiali kolejne wyniki jej badań kontrolnych, a po wszystkim zamykali się w sali zabaw dzieciaków, aby pogadać z najmłodszymi i zająć im czas pomiędzy posiłkami a odwiedzinami rodziców.

Idąc korytarzem Hope dostrzegała na drzwiach i ścianach naklejki i plakaty z logo jej fundacji i nie mogła nie poczuć tej iskierki zadowolenia na myśl, że to w jakimś stopniu dzięki niej onkologia dziecięca przy St. Marry przeżywała swoją drugą młodość. Jednak pomimo śmiechu dzieciaków, jakie dochodziły do jej uszu przez zamknięte drzwi bawialni, Hope nie potrafiła się cieszyć ze spotkania ze swym przyjacielem. Może właściwie dlatego, iż wcale nie miała go spotkać.

Tydzień temu Emanuel przeszedł na zasłużoną, spóźnioną o kilka lat emeryturę a ona miała spotkać się z nowym ordynatorem oddziału i jej lekarzem prowadzącym jakimś D. Colin. Tak, tak, właśnie tak. Pan D KROPKA COLIN. Po tym, jak dostała od niego krótką notkę o kolejnym spotkaniu w sprawie badań kontrolnych, pod którą właśnie tak się podpisał, Hope wiedziała już, że nie zostaną przyjaciółmi.

Ktoś, kto podpisywał się z kropką, zamiast imienia musiał być starym zrzędą z kilkunastoma dyplomami na ścianie gabinetu, z okularami o grubych szklach i mnóstwem udanych przeszczepów na koncie. Pocieszała się jedynie myślą, iż i on za długo nie zabawi na tym stołeczku, nim dopadnie go emerytura, a jeśli przez kolejne dwa lata nie będzie miała problemów ze zdrowiem, ich spotkania ograniczą się do jednego na rok.

Stąpając szybko w kierunku recepcji, co rusz odpowiadała na powitania pracowników onkologii. Znała tu niemal wszystkich i z każdym miała dobry kontakt. Znała Aloe i Truddi, pracowników

sprzątających oddział na porannej zmianie oraz Georga i Kevina, pracujących na popołudniówki, znała Dominika, Jo i Ashtona, trójkę pielęgniarzy, Conni z dyżurki i Franka, miłego starszego pana na emeryturze, który w wolnych chwilach umiłał dzieciakom wieczory, przychodząc do szpitala z rzutnikiem, laptopem i mnóstwem bajek, które oglądali na ścianie bawialni dzięki projektorowi.

Hope znała niemal cały personel i mimo tych chwil jak dzisiaj, kiedy strach przed wynikiem badań niemal paraliżował jej nogi, czuła się tutaj jak w domu. Traktowała personel, jak rodzinę, a oni traktowali ją tak samo. Z kilkoma osobami spotykała się nawet poza szpitalem i nie wyobrażała sobie, by miało ich zabraknąć w jej życiu. Między innymi było tak, z zaledwie trzydziestoletnią recepcjonistką o słodkiej, okrągłej twarzy i wodospadem długich do połowy pleców, prostych włosów barwy kakao, które Judi upięła dzisiaj w koński ogon. Jej pudrowo różowy uniform ładnie podkreślał lekko czerwone policzki Judi i jej wieweeelkie, brązowe oczy.

— Cześć Judi! — zawołała wesoło, wrywając Judi z zamyślenia.

— Cześć! — Podskoczyła wystraszona a widząc stojącą przed nią Hope, uśmiechnęła się szeroko.

— Jak się masz?

— Całkiem dobrze. Wybacz, że nie oddzwoniłam w sobotę. Byłam akurat na weselu klientki.

— Och, to nic. — Judi machnęła dłonią, odkładając na bok biurka okazały stos dokumentów. — Chciałam jedynie zapytać, czy nie chciałabyś wyskoczyć ze mną, Luckiem i Jayem na drinka we wtorek.

Hope musiała przymknąć powieki, by przyjaciółka nie dojrzała w jej oczach niesmaku i irytacji. Nie miało to nic wspólnego z Judi, broń Boże, ani też z jej mężem Luckiem, którego Hope uwielbiała nad życie. Problemem był uganiający się za nią kuzyn Lucka, wspomniany Jay.

I o ile na początku amory młodego polityka sprawiły Hope zadowolenie, tak potem Jay okazał się bardzo natarczywy i cholernie... Lepki. Ciągłe zasypywał Hope telefonami i smsami, co rusz pojawiał się na różnych uroczystościach i bankietach, w których i ona brała udział i kupował jej śmiesznie drogie prezenty, jakby już byli parą. Jednak kres jej życzliwości nadszedł, kiedy mimo jej głośnego i stanowczego „Nie” Jay postanowił ją pocałować.

Ich znajomość skończyła się jej dłonią na jego policzku i Hope miała nadzieję, że nigdy więcej go nie spotka. Niestety to, co okazało się końcem dla niej, nie zniechęciło Jaya, który co krok starał się zaprosić ją na drinka lub kolację.

— Cholerna szkoda, ale nie mogę — jęknęła, czując, jak jej język zaplątuje się w supeł od tego okropnego kłamstwa.

Judi spojrzała na nią z uniesioną wysoko brwią.

— Wiesz, że nie umiesz kłamać prawda?

— Wiem... — Ramiona Hope opadły w niemocy.

— Nie martw się. — Judi poklepała ją po dłoni. — Jakoś cię wykręcę z tego spotkania.

Uśmiechając się do Judi, Hope poczuła do niej wielką wdzięczność. Nie powiedziała jej, co się stało między nią a Jayem, bała się, że Judi powie to Luckowi, a ten wybije zęby swojemu kuzynowi. Nie chciała, by przez nią i to całe nieporozumienie dwóch, tak dobrze rozumiejących się

mężczyzn, pobiło się i obraziło na siebie.

— Jesteś wielka.

Judi wzruszyła jedynie ramionami, zaglądając do wielkiego kalendarza. Właśnie za to Hope ją uwielbiała. Judi nie pytała o rzeczy, o jakich człowiek nie chciał rozmawiać, nie wtrącała się w twoje sprawy, ale pozostawiała w twojej świadomości notatkę zapisaną dużymi literami, iż jeśli tylko zechcesz, ona będzie pod telefonem, pozwalając ci wypłakać się i wyzalić. Była jedną z tych wspaniałych osób o dobrym sercu i delikatnym języku, jakich Hope miała zaszczyt poznać w swoim życiu.

— Masz dzisiaj umówiony termin?

— Tak, dziesiąta piętnaście — przytaknęła, przechylając się konspiracyjnie przez blat recepcji. — Jaki jest mój nowy lekarz?

Judi podniosła na nią wzrok ponad monitorem komputera i skrzywiła się znacznie. Jej wielkie, brązowe oczy zawsze ciepłe i uprzejme nie potrafiły ukryć niechęci do doktora Colina, a to znaczyło, że facet musiał być totalnym gburem. Judi nie potrafiła nienawidzić, ale jeśli już tak się stało, to było jak w banku, że ta osoba nie zasługiwała na zainteresowanie, niczyje prócz policji bądź egzorcysty.

— Cześć, słodka dziewczyno!

Obie spojrzały w kierunku pojawiającej się na korytarzu kobiety w stroju pielęgniarki. Mimo swojego wieku miała piękne, czarne włosy upstrzone kilkoma pasmami siwizny upięte w gruby warkocz a jej ciemne oczy lśniły łobuzerskimi iskierkami. Spore biodra bujały się przy każdym jej kroku, a dorodny biust podskakiwał jak szalony w opiętym uniformie. I mimo że miała najwyżej pięć stóp wzrostu, kobieta była piękna nad wyraz. Spod krótkich rękawków wdziały się maoryskie tatuaże, jej największa duma i skarb.

Hope pamiętała jak, jeszcze jako siedemnastolatka, wraz z innymi dzieciakami chowała się przed oddziałową pielęgniarką pod prześcieradłami i udawała, że śpi, by po obchodzie zasiąść w kręgu na podłodze i opowiadać straszne historie. Elli była postrachem wszystkich dzieciaków z onkologii. Zawsze poważna, zawsze czujna i nieustępliwa. Każdy się jej bał, a ona to wykorzystywała i wycinała im jeszcze większe żarty. Teraz kiedy Hope wyrosła ze strachu przed Elli, uważała ją za kogoś na wzór jej matki. Elli zawsze była dobra i czuła, miała zasady, ale jaka matka ich nie miała?

— Elli! — zawołała, przytulając podchodzącą kobietę. — Wreszcie wróciłaś!

Elli od miesiąca była na wyprawie do Nowej Zelandii, swojego ojczystego kraju i Hope okropnie za nią tęskniła. Tęskniła za ich wspólnym czasem w klinice i poza nią. Tęskniła za jej opowieściami o Maorysach i legendach, jakich Elli nasłuchiwała się jako dziecko.

— Też się za tobą stęskniłam — odparła, przytulając ją do swojej wielkiej piersi. — Musimy się umówić na kawę. Przywiozłam dla ciebie parę pamiątek.

— Oczywiście, że tak — przytaknęła z nieudawaną radością.

Elli mrugnęła do niej porozumiewawczo i oparła się o blat recepcji.

— O czym gawędziłyście ptaszki?

— Rozmawialiśmy właśnie o Dupku Colinie — Judi szepnęła do Elli a oczy Hope o mało nie wyskoczyły z orbit.

— Judi!

W życiu nie słyszała, by Judi mówiła tak o jakimkolwiek członku ich załogi. W sumie to nie słyszała, by Judi mówiła tak o kimkolwiek.

— Ach, o tym bufonie — westchnęła Elli.

Hope jak rażona piorunem spojrzała na kobietę.

— Chryste, co wy mówicie? — pisnęła.

— On jest okropny Hope. Ani grama dobroduszości. Stuprocentowy służbista. — Jak na potwierdzenie swych słów, Judi upiła łyk zimnej kawy z kubka w misie.

Hope przeskakiwała z twarzy Elli na Judi i z Judi na Elli. A one były tak poważne, że niemal zabrała nogi za pas i związała, gdzie pieprz rośnie.

— Dziewczyny... Proszę was, ja muszę tam zaraz wejść. Nie może być, aż tak źle...

Jak na znak telefon Judi pisnął żałośnie, jakby i on miał dość doktora Colina, a Judi zrobiła zboląłą minę, włączając telefon na głośnomówiący.

— Panno Marck. — Zadudnił głos w interkomie. — Od pięciu minut czekam na akta Charlotte. Długo to jeszcze potrwa?

— Już się robi doktorze Colin. — Judi jękała, patrząc błagalnie na Hope.

— Mam nadzieję, że to nie jest ponad Pani możliwości, by odnaleźć kilka kartek papieru — mruknął doktor, po czym odłożył słuchawkę z głośnym trzaskiem.

Hope popatrzyła po skrzywionych twarzach koleżanek.

— Właśnie o tym mówiliśmy — westchnęła Elli klepiąc po dłoni bladą jak ściana Judi. — Facet robi tu niezły terror, ale z drugiej strony to ponoć jeden z najlepszych specjalistów w kraju.

— Nie zmienia to faktu, że jest dupkiem — mruknęła Judi, wychodząc za ladę recepcji. — Powiem mu, że już przyszedł.

Posłała im spojrzenie pełne cierpienia, a one pomachały jej, jakby właśnie szła na szubienicę.

— Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, by Emanuel powołał na stanowisko ordynatora onkologii takiego drania, za jakiego go macie, Elli — Hope zwróciła się do stojącej u jej boku kobiety.

— Także nie mogłam w to uwierzyć i przez ostatnie kilka dni próbowałam odnaleźć w nim choćby odrobinę ludzkich odruchów, ale jest, niestety, tak jak jest. To buc.

Powiedziawszy to Elli odwróciła się do wołającego ją pielęgniarza i ściskając Hope na pożegnanie, wróciła do swoich obowiązków. Przez kilka kolejnych chwil Hope stała oparta o ladę recepcji czekając na pozwolenie wejścia. Kiedy nareszcie drzwi gabinetu, w którym zniknęła Judi, otwarły się, Hope miała ochotę uciec.

Judi była blada jak ściana, a w kącikach jej oczu lśniły łzy. Policzki w przeciwieństwie do reszty jej

uroczej buzi były czerwone, jakby ktoś ją w nie uderzył i przez chwile właśnie tak się zachowywała.

— Możesz wejść — pisnęła, siadając za komputerem.

— Judi...

Ale ta tylko pokręciła przecząco głową, wyciągając z szuflady biurka paczkę chusteczek. Wydmuchwała szybko nos i z utkwionym w monitorze wzrokiem poprosiła ją, by weszła jak najszybciej do gabinetu.

Nie chcąc przysparzać Judi problemów, Hope poprawiła na ramieniu torebkę i szybko przemknęła do sali, w której miała spotkać doktora Colina.

Biuro na pierwszy rzut oka nie zmieniło się za bardzo po odejściu Emanuela. Ściany wciąż były jasno kremowe, biurko wciąż to samo, z ciemnego drewna a za nim ten sam, skórzany fotel. Jednak zamiast zdjęć Emanuela z dziećmi, jakie wisiały na ścianach, było tu teraz kilka kopii, jakichś obrazów, które Hope widziała na wystawie w muzeum. Na biurku zamiast kolejnych zdjęć leżało kilka długopisów i mnóstwo akt pacjentów a sofa z kąta, na której Hope przesiadywała z Emanuelem znikła zastąpiona kwiatem w doniczce. Hope miała jedynie nadzieję, że Emanuel zabrał ją ze sobą i nie dał jej wyrzucić na śmietnisko.

Rozglądając się po gabinecie Hope dostrzegła go. Doktor stał przy oknie, z uwagą czytając dokumenty zamieszczone w zielonej aktówce z jej imieniem i nazwiskiem nadrukowanym na okładce. I cholera, wcale nie wyglądał na starego ani tym bardziej na typowego lekarza.

Doktor Colin był wysokim mężczyzną, o wiele większym od Hope, a to, nie byle co, gdyż sama miała dobre metr siedemdziesiąt pięć, a w szpilkach, które miała na sobie była o dziesięć centymetrów wyższa. Mimo to doktor był o wiele wyższy, mógł mieć dobre dwa metry, ale to, co najbardziej zdziwiło Hope to jego wiek. Mężczyzna mógł mieć najwyżej trzydzieści pięć lat i był...

Co tu dużo mówić. Był bardzo przystojny.

Miał odrobinę za długie blond włosy, które nosił nonszalancko zaczesane do tyłu i bardzo męską, kwadratową twarz upstrzoną dwudniowym zarostem. Nie należał do umięśnionych typków, jakich widywała na siłowni w mieście, ale też nie był mizernym chudzielcem. Był wysportowany i sprawiał wrażenie silnego, o czym świadczyły spore mięśnie ramion odznaczające się pod białym kitem.

— Pani Lanstor? — zapytał, nie odwracając się do niej.

— Panna — powiedziała automatycznie, niemal od razu żałując, gdy lekarz spojrział na nią zimno, skanując ją od stóp do głów swoimi błękitnymi, lodowymi oczami.

Czuła się jak na wystawie w jakimś drogim butik, gdzie była drogą sukienką o wątpliwej urodzie a on klientem zastanawiającym się właśnie czy ma zamiar wydać taką sumę za kawałek materiału. Hope nigdy nie należała do ludzi oceniających innych po pozorach, nauczyła się od Elli szukania w każdym odrobiny dobra. Niestety Elli miała rację, w tym człowieku nie potrafiła tego znaleźć, a po jednym jego spojrzeniu wiedziała już, że w nim nie znajdzie bratniej duszy.

— Ma Pani obrączkę na palcu. — Wskazał brodą spory pierścionek na jej palcu.

Odruchowo złapała palcami za pierścionek, obracając go na palcu. Robiła to zawsze, kiedy tylko czuła się zdenerwowana, a przy tym lekarzu czuła się jak na dywaniku.

— Należała do moich rodziców — odparła cicho.

— Do obojga?

Podniosła na niego wzrok, ale on już na nią nie patrzył.

— Przetopiłam ich obrączki w jedną...

— Proszę usiąść — przerwał jej nieuprzejmie i z nosem w dokumentach, wskazał krzeselko przed biurkiem.

Zaciskając usta, wykonała polecenie. Nie, w żadnym przypadku nie zostaną przyjaciółmi i Hope już żałowała, że Emanuel odszedł na emeryturę. Z nim całe to przedstawienie lekarz-pacjent wyglądało o niebo lepiej. Zazwyczaj zasiadali na wspomnianej sofie, wypijali kawę, rozmawiając o wszystkim i o niczym, po czym Emanuel rzucał coś na wzór „Wszystko z tobą dobrze aniołku, i oboje szli do dzieciaków, by trochę się z nimi pobawić.

Przy tym lekarzu nie mogła najwyraźniej liczyć nawet na szklanekę wody.

— Przeszczep szpiku kostnego jak do tej pory przynosi oczekiwane skutki.

Hope przytaknęła głową, choć doktor nie mógł tego widzieć. Wciąż z oczami utkwionymi w dokumentach poruszał niemo ustami, a Hope, mimo całej niechęci, jaką w niej wzbudził swoim karygodnym zachowaniem, musiała przyznać, że miał bardzo ładne usta.

— Tak. Reemisja trwa już trzy lata, po ośmiu miesiącach od przeszczepu wróciłam do domu...

— Tak, wiem — mruknął a Hope zmrużyła oczy w gniewie. — Umiem czytać Panno Lanstor.

Boże, czy on już od zawsze będzie jej się wtrącał w zdanie? Ten człowiek był niesamowity. Potrafił ją wyprowadzić z równowagi po mniej niż pięciu minutach rozmowy. I najwyraźniej nie było mu dość.

— Więc, po co mnie Pan pyta, doktorze? — zapytała, czując, jak coś nieprzyjemnego kręci się w jej żołądku.

— Nie pytałem — stwierdził zimno. — Po prostu głośno myślałem.

Przez następne kilka minut doktor czytał jej akta a Hope siedziała cicho jak mysz pod miotłą, nerwowo kręcąc kciukami młynka. Modliła się, by lekarz jak najszybciej powiadomił ją o wynikach badań kontrolnych i pozwolił jej odejść. Nigdy wcześniej nie czuła się w tym gabinecie tak niepewna i niemile widziana jak dzisiaj.

— Przez osiem miesięcy po przeszczepie była Pani leczona immunosupresyjnie i trzykrotnie trafiła Pani z powrotem do szpitala z powodu kilku powikłań.

Hope nie odpowiedziała. Skoro potrafił czytać, a ewidentnie to teraz robił, zapewne jej potwierdzenie znowu zbyłby jakimś kąśliwym komentarzem.

— Panno Lanstor?

Podniosła na niego wzrok, widząc, jak wpatruje się w nią swymi błękitnymi oczami. Niemal

zazgrzytała zębami ze złości.

— Podobno potrafi Pan czytać — warknęła zimno.

— Owszem, ale chcę wiedzieć, że po tych trzech powrotach rozumie Pani powagę sytuacji i nie będzie się Pani więcej narażać na zakażenia wirusami.

Hope omal nie spadła z krzesła, na którym siedziała.

Co za...

Czy on ją właśnie poucza, jak ma dbać o swoje zdrowie? Co za tupet! Ona jako jedna z tych nielicznych „szczęściarzy” doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak wielką wagę musi przykładać do zdrowego stylu życia. Czy on miał ją za idiotkę?

— Doskonale wiem jak mam o siebie dbać i ...

— Jakoś mi się nie wydaje — przerwał jej, z powrotem pakując nos w dokumenty. — Gdyby tak było, nie wracałaby Pani do nas trzy razy po przeszczepie.

Musiła przymknąć oczy, by się uspokoić, w innym przypadku nie była pewna czy nie rzuciłaby się mu do gardła.

— Proszę wierzyć mi na słowo doktorze — syknęła. — Nie jestem głupia.

Doktor Colin spojrzał na nią uważnie. Hope miała wrażenie, że stara się tym zajrzeć w głąb jej duszy. Bardzo niemiłe doświadczenie.

— To się okaże — rzekł zimno, po czym rzucił na biurko teczkę z jej imieniem i ruszył do wyjścia.

Nie wiedząc, czy to koniec spotkania, czy nie, Hope ruszyła za nim.

— Pani wyniki są wysoce zadowalające, Panno Lanstor — powiedział, kiedy do niego podeszła. — Konieczna jest dieta lekkostrawna, ale wysokobiałkowa i wysokokaloryczna.

— Wiem — niemal pisnęła w gniewie. — Cały czas ją stosuję i to dlatego przytyłam piętnaście kilo od ostatniej chemii.

— Dobrze — przytaknął, otwierając przed nią drzwi, a ona wyszła na korytarz. — Oby tak dalej, Panno Lanstor. Trzeba o siebie dbać. Niestety pieniądze, nawet ich miliony nie są w stanie nam zapewnić zdrowia, jeśli sami o to nie zadbamy. Lekarze to nie cudotwórcy.

Hope poczuła, jak znowu coś w jej żołądku podskakuje do góry i z siłą wali po jego wnętrzu. Czy on właśnie zasugerował, że ze względu na to ile ma na koncie, Hope będzie bezmyślnie szastać na prawo i lewo swoim zdrowiem? Już miała otworzyć usta, by zasypać go wiązańką kwiecistych epitetów, kiedy coś uczepliło się jej kolana i ścisnęło je delikatnie.

Zaskoczona spojrzała na dół i uśmiechnęła się szeroko.

— Denis! — Schyliła się do ośmiolatka, którego łysa głowa świeciła w świetle lamp korytarza i poprawiła mu zwisające z nosa wąsy tlenowe.

— Jest poniedziałek. Judi powiedział, że na pewno nas odwiedzisz — powiedział, zarzucając jej na szyję chude rączki. — Ale jest już prawie jedenasta, a ciebie nie było. Myślałem, że nie przyjdiesz.



Denis oderwał się od jej szyi i spojrział na nią z winą malującą się w oczach. Po chwili przeskoczył swymi ogromnymi oczami na stojącego wciąż w drzwiach doktora Colina i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Cześć Dru — powiedział wesoło.

Zaskoczona Hope odwróciła głowę do doktora. Patrzył na nich uważnie ze zmarszczonym czołem i brwiami układającymi się w ciasne „v” nad jego nosem. Hope nie mogła pojąć, by człowiek tak bezduszny i zimny zaskarbił sobie sympatię Denisa. Chłopiec był sierotą, w dodatku bardzo zamkniętą w sobie, a samej Hope, jak i Emanuelowi zajęło dobre pół roku, aby do niego dotrzeć. Denis nie był kimś, kto otwierał się ot, tak na nowe znajomości a fakt, że zaledwie po kilku dniach uważał nowego doktora za kogoś godnego jego uwagi, był niesamowity.

— Cześć Denis — odparł doktor tonem tak całkowicie innym niż ten, jakim dopiero co rozmawiał z Hope. — Zjadłeś dziś swój szpinak?

Denis uśmiechnął się przebiegle. Hope wiedziała, jak mały nienawidzi szpinaku. Nie raz i nie dwa przyłapywała go na wtykaniu go w różne zakamarki oddziału albo chowania po kieszonkach spodni od piżamy, by móc je wyrzucić do kosza.

— Zostawiłem ci na moim talerzu — odparł i poprawiając stojącą przy jego nogach butlę z tlenem, pociągnął dłoń Hope, by jak najszybciej uciekli do bawialni.

— Do widzenia — rzuciła do lekarza, który wciąż bacznie jej się przyglądał.

Nie spodziewała się, by jej odpowiedział, a on nie zawiódł jej oczekiwań. Odwrócił się na pięcie i bez słowa wmaszerował do swego gabinetu.

## SAM I ALISON

Po powrocie do pracy Hope wciąż trzęsa się na myśl o jej nowym, mało uprzejmym i niemiłym w obejściu lekarzu, ale czas, jaki spędziła z dziećmiakami w bawialni, skutecznie wynagrodził jej nieprzyjemne doświadczenie z rana. Denis zajął jej czas opowiadaniem o nowym bohaterze, jaki pojawił się w jego ulubionej serii książek fantasy i nawet przeczytał jej swoje ulubione fragmenty, które zaznaczył przyniesionym mu przez Hope markerem. Chłopiec był niezwykle inteligentny jak na jego osiem lat. Książek nie czytał, on je pochłaniał i to w ilościach, które mogłyby zawstydzić nie jedną bibliotekarkę. Hope uwielbiała go od pierwszego spojrzenia, kiedy jako pięcioletek przybył z domu dziecka z zapaleniem płuc, które na nieszczęście okazało się rakiem. Do tej pory Hope nie potrafiła zrozumieć takiej niesprawiedliwości losu. Nie dość, że chłopiec był sierotą, mieszkał w jednym z domów dziecka to w dodatku zachorował na to „paskudztwo” jak to między sobą nazywali, co skutecznie wykluczyło go z programu adopcyjnego. Okrutna prawda była taka, że przyszli rodzice nie chcieli opiekować się dzieckiem, które od samego początku sprawiałoby problemy.

Oprócz niego na oddziale znajdowało się aktualnie siedmioro innych dzieciaków. Charlotte, trzynastolatkę z mięsakiem tkanek miękkich, poznała już przy pierwszej swojej przygodzie z białaczką. Dziewczynka była bystra i odrobinę sarkastyczna, co z roku na rok zaczęło dominować w jej charakterze, ale i to Hope w niej uwielbiała. I mimo amputacji lewej nogi, której nie dało się uratować, Charlotte była pełna życia. Zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, że i jej przygoda z rakiem może skończyć się jej porażką, była bardzo inteligentna, ale nie sprawiło to, że przestała planować swoją przyszłość. Amputacja dwóch palców lewej dłoni też jej przed tym nie powstrzymała i kiedy tylko skończy osiemnaście lat, planowała zatrudnić się w firmie Hope, a ta miała jej to zamiar umożliwić.

Reszty dzieciaków Hope nie znała zbyt dobrze. Niektórzy z nich dopiero co trafili na oddział, inni mieszkali w klinice już jakiś czas, ale to ta dwójka była dla Hope najważniejsza. To obawa o nich, strach przed utratą Denisa i Charlotte spędzała jej sen z powiek. Tych dwoje Hope traktowała niczym własne dzieci i gdyby... Gdyby coś im się stało, Hope nie wiedziała, czy umiałaby sobie z tym poradzić.

Wysiadając z limuzyny, wysłała Thomasa na lunch, na co ten jedynie przytaknął głową. Hope zatrudniła go po zawale Sajmona, który do tamtej pory upierał się normalnie pracować i wozić ją wszędzie tam, gdzie tylko zechce. Po ogromnej awanturze, jaką Sajmon zrobił Hope, gdy ta wysłała go na przymusową emeryturę, to Sajmon wyszukał dla niej nowego szofera. Z tego, co Hope wiedziała, Thomas był emerytowanym żołnierzem, ale o nic więcej nie chciała pytać. Im mniej wiedziała o kolegach Sajmona, tym zdrowsza się czuła.

Przechodząc szybko przez zakorkowaną ulicę centrum, Hope weszła do jednego z biurowców, gdzie na najwyższym piętrze znajdowało się jej biuro i pracowania. Było kilka minut przed trzynastą, więc nie spodziewała się znaleźć nikogo w pracy, o tej godzinie zazwyczaj wszyscy byli jeszcze na przerwie, ale nie zdziwiła się też, kiedy po przekroczeniu progu luksusowego biura ujrzała za monitorem komputera uśmiechniętą twarz swojego przyjaciela Sama.

— Hej słoneczko! — zawołał na jej widok, podnosząc się z obrotowego fotela.

Sam był niskim, pucułowatym mężczyzną o idealnej fryzurze ciemnych włosów, z równo

przystrzyżoną brodą i z całym tym blaskiem typowym dla gejów. Jego styl ubierania się także mówił za niego, jakiej jest orientacji. W jego szafie prym wiodły różnobarwne marynarki, koszule w paski i cętki oraz spodnie na kant, do których nosił ulubione mokasy z krokodylej skóry.

— Hej! — Przywitała się z nim całusem w usta. — Jak zwykle na mnie czekacie?

Hope rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając wzrokiem Alison. Jak w każdy poniedziałek, kiedy jechała do kliniki, aby posiedzieć z dziećmi, jej przyjaciele czekali na nią z lunchem do momentu, aż wróci. Nawet gdyby miało to trwać, aż do wieczora.

— Jasne, że tak — Sam wzruszył nonszalancko ramionami. — Nie damy ci zjeść lunchu w spokoju.

— Tak właśnie myślałam — zaśmiała się, podchodząc do biurka recepcji, by przejrzeć szybko notatki pozostawione dla niej przez Georginę, ich sekretarkę.

— Alison! Alison, Hope już jest! — wydarł się Sam, na co Hope podskoczyła w przestachu. — Idziemy coś zjeść!

— Już idę! — Dobiegł ich zdyszany głos z toalety.

Sam wywrócił teatralnie oczami, zakładając na ramię torebkę od LV i biorąc Hope pod ramię.

— Pospiesz ten swój wychudzony tyłek — mruknął na tyle głośno, by Alison mogła go usłyszeć.

— Daj mi spokój — warknęła kobieta, wychodząc z łazienki, poprawiając po drodze swoją neonowo różową spódnicę w kontrafałdy.

Od kiedy ich znała, Sam zawsze dopiekał Alison o jej wagę i sylwetkę, która według jego standardów mieściła się w obrębie anoreksji, a Alison, jak zwykle zbywała jego komentarze machnięciem dłoni. Jeśli ktoś spytałby Hope o zdanie, to powiedziałaaby, że przyjaciółka jest wprost idealna. Była, co prawda nie wysoka, ale ze swoim ciałem mogłaby występować na wybiegach mody najpopularniejszych domów. Do tego te jej piękne, gęste blond włosy, które same z siebie układały się w ogromne loki.

Cóż, to co było perfekcją dla Hope, było absolutnym „no go” dla Sama.

— Popatrz na Hope — rzekł, klepiąc ją po pupie, która dzięki diecie zrobiła się całkiem spora. — Dziewczyna przeżyła pieprzoną białaczkę i ma krągłości jak Beyonce, a ty? Marny chudzielcu...

Za to właśnie Hope uwielbiała Sama i Alison. Oboje nie robili z jej choroby tematu tabu. Mówili o tym głośno, nie zwracając uwagi na zszokowane spojrzenia reszty towarzyszących im ludzi, którzy traktowali Hope jak trędowatą. Ta dwójka robiła sobie żarty z jej choroby, kiedy Hope leżała na oddziale i miała dostać kolejną chemię. I za to ich kochała.

— Tobie też, by się przydała dieta — syknęła Alison, zbierając klucze i telefon z biurka, by wpakować je do torebki. — Wyglądasz jak mały prosiak.

Hope spojrzała kątem oka na Sama, który wyglądał, jakby Alison przywaliła mu w twarz. Zaczerwienił się po koniuszki uszu i wpatrywał w przyjaciółkę w niemym niedowierzaniu.

— Jak możesz...

— Tak samo, jak ty. A teraz chodźmy — Alison wyminęła Sama dumnym krokiem, przechwyciła z jego uścisku Hope wyprowadzając ją pod ramię z biura.

Do ich ulubionej restauracji, w której zwykli jadać, nie mieli daleko. Wystarczyło przejść na pieszo dwie przecznice i już byli w „Domu Oriana”, przyjemnej włoskiej knajpce, gdzie popołudniami było spokojnie, a wieczorami można było wypić kilka dobrych koktajli. Zasiadając w kącie pod ścianą, gdzie cała ich trójka miała wystarczająco miejsca i swobody złożyli zamówienie u wysokiego i przystojnego Włocha, który robił maślane oczy do Alison, starając się nie zwracać uwagi na Sama bez skrępowania patrzącego na jego tyłek.

— Więc, jaki jest twój nowy lekarz? — zapytał Sam, polewając sokiem z cytryny swoje ulubione grillowane krewetki.

Na wspomnienie doktora Colina humor Hope diametralnie sięgnął piwnicy. Przeżywając w głowie na nowo spotkanie z niesympatycznym lekarzem, poczuła, jak jej policzki płoną ogniem.

Nie znosiła go.

— Uuu... — zawołał Sam, szturchając Alison w bok, przez co biedna upuściła na swoją nową spódnicę sporą porcję makaronu. — Popatrz na tę minę. Nowy doktorek, aż tak zaszedł ci za skórę?

— Nawet nie wiesz jak... — sapnęła, mieszając widelcem w talerzu wypełnionym kurczakiem z ryżem w sosie pomidorowym.

— Nie i dlatego chcę poznać wszystkie szczegóły — powiedział, śmiesznie poruszając brwiami. — Wszystkie.

Zaczerpując mocnego wdechu, Hope wepchnęła do ust kawałek obiadu i przeżuwała go zawzięcie, jakby to był sam doktor Colin. Połykając wszystko za jednym zamachem, na wydechu opowiedziała o ich spotkaniu, nie pomijając tego, co mówiły o nim Elli i Judi, jak doktor potraktował przyjaciółkę i ją samą. Kiedy skończyła, oczy Sama i Alison niemal wychodziły z orbit.

— Dupek — sapnęła Alison, upijając dietetycznej koli.

— Zgadzam się w pełni, kochana — przytaknął Sam. — Straszny dupek.

I jakby to miało dopełnić sensu jego słów, wpakował zamasyście do ust sporą krewetkę.

— Nie przejmuj się Hope — zagadnęła po chwili Alison, starając się zetrzeć plamę po sosie z nowego nabytku, jakim była jej spódnica. — Nie będziesz musiała zbyt często przebywać z tym chamelem.

— Jasne... — Hope odrzuciła na talerz widelec, chowając twarz w dłoniach. — Tylko każdego tygodnia w poniedziałki, kiedy będę odwiedzać dzieciaki.

— Zawsze możesz dzwonić do Judi i pytać, czy ten, pozał się, lekarz jest w zasięgu wzroku.

— Alison, proszę, daj spokój. — Sam wskazał jej talerz, jakby mówiąc, że to nim ma się zająć. — Hope, skarbie, to tylko mężczyzna. Olej go, tylko tyle możesz zrobić i nie zwariować.

Kiedy o siedemnastej trzydzieści wyszła z biura, właśnie zbierało się na deszcz, który zaczął lać strumieniem w połowie drogi za miasto gdzie mieszkała Hope. Wycieraczki limuzyny nie nadążały

za ścieraniem wody z szyby, co sprawiło, iż jechali zaledwie trzydzieści do czterdziestu kilometrów na godzinę i dało Hope niepotrzebny czas do myślenia. Myślenia i na nowo przeżywania dzisiejszego poranka, bo mimo że wśród przyjaciół i bliskich jej ludzi była uważana za twardzielkę, Hope tak naprawdę była bardzo wrażliwą osobą. Wszystko przeżywała dwa razy bardziej niż inni, a wszelkie przykrości, jakie ją spotykały, jej uparty mózg analizował przez kolejny tydzień.

Nareszcie, westchnęła po godzinie jazdy, widząc wysoką bramę i gęsto rosnące wokoło jej posiadłości tuje. Thomas wcisnął guzik na pilocie sterującym automatyczną bramą, która po chwili rozchyliła się, wpuszczając ich do innego świata. Do świata Hope, w którym była bezpieczna i szczęśliwa.

Mimo lejącej się z nieba powodzi i gęstej mgły, dostrzec można było ogromny, zabytkowy zamek z szarego kamienia usadowionego na końcu długiego podjazdu. Pałac zbudowany był na wzór litery U i pokryty był z lewej strony od ziemi po dach zielonym bluszczem. Jego dwie wieżyczki górowały nad posiadłością niczym dwie, dumne damy, z których okien rozpościerał się piękny widok na ogrody, jezioro i las. Hope uwielbiała swój dom, był taki... Całkiem w stylu jej rodziców, a przynajmniej tak sobie wmawiała, w końcu to oni go kupili.

Thomas zaparkował limuzyną w podziemnym garażu, ustawiając ją pomiędzy ulubioną Carrerą Hope i terenowym Hummerem Sajmona. Dziękując szoferowi, wysiadła i przeszła schodami do ogromnego holu przepelnionego drewnianą boazerią i meblami z dębu. Z holu przechodziło się do sali balowej, ogromnej jadalni, sali konferencyjnej, prywatnego kina i pomieszczeń dla służby. Za krętymi schodami znajdowała się kuchnia oraz pomieszczenia gospodarcze.

Jak tylko przekroczyła próg domu, usłyszała stukot pazurów o drewnianą podłogę i wesołe szczekanie. Lucius, ogromnej wielkości dog, o czarnej jak noc sierści podbiegł do niej, ślizgając się na wypastowanej podłodze. Wcisnął łeb między udo a dłoń Hope domagając się pieszczot niczym małe szczenię i przez pierwsze dziesięć minut zmuszona była czochać go za uszami i klepać po boku. Kiedy zadowolony z powitania Lucius dał jej wreszcie spokój i usadowił się przy schodach, czekając, aż ruszy się z holu, Hope odstawiła torebkę na stoliku koło wejścia, dopiero teraz dostrzegając leżący na nim

„Jestem u Emanuela na partyjce brydża  
Kocham S.”

— No tak, to było do przewidzenia — powiedziała do siebie, odrzucając karteczkę na bok.

Od kiedy tylko pamiętała, Sajmon miał bardzo dobry kontakt z jej lekarzem. Jak tylko stało się jasne, co tak naprawdę jej dolega, ta dwójka stała się niemal nierozłączna.

— Panienko Hope. — Usłyszała za swymi plecami.

Przestraszona podskoczyła do przodu, waląc łokciem o kant blatu. Obróciła się na pięcie, spoglądając na twarz równie wystraszonej, co ona gosposi, Jessiki.

— Tak? — wysapała, dotykając dłoni, pod którą szaleńczo biło jej serce.

Jessica zrobiła jakiś bliżej nieokreślony ruch, coś pomiędzy ucieczką a próbą przytulenia jej. Zrezygnowała jednak z obu tych rzeczy i zastygła w dziwnym bezruchu, z miną totalnego winowajcy.

— Czy mam nakryć do stołu w jadalni? — zapytała, dalej trzymając się na odległość, jakby Hope miała zamiar zemdleć.

— Dziękuję Jessico, ale dziś zjem w małym salonie — odpowiedziała.

— Oczywiście, Panienko.

Służka przytaknęła głową, po czym udała się przez korytarz do znajdującej się za schodami kuchni. Kiedy zniknęła jej z oczu, Hope wraz z Luciusiem przy nodze powędrowała kręconymi schodami na pierwsze piętro, gdzie znajdowało się kilkanaście sypialni dla gości, mała bawialnia, biuro jej i Sajmona, oraz ich sypialnie. Wchodząc do swego wielkiego pokoju o jasnych ścianach i modnym wystroju, gdzie królowało łóżko wielkości pola namiotowego, Hope miała tylko jeden cel.

Kąpiel. Gorąca, długa kąpiel w olejkach, z bąbelkami, kilkoma świecami i uspokajającą muzyką w tle. Niestety, choć leżenie w gorącej wodzie przez ponad godzinę, aż jej opuszki stały się pomarszczone i miękkie było bardzo miłe, Hope nie potrafiła wymazać z pamięci okropnego zachowania swego doktora. I mimo że był przystojny, co tu się oszukiwać, kiedy taka była prawda, wiedziała już, że od dzisiaj czekać tylko będzie na to, by pięć lat po jej przeszczepie jak najszybciej minęło i nie będzie musiała spotykać się z tym bucem nigdzie, poza korytarzem szpitala. I wiedziała także, że nawet to będzie dla niej okropne za każdym razem, gdy do tego dojdzie.

Kiedy wyszła z wanny, o całe dziesięć kilo lżejsza, kolacja już na nią czekała. Denni, ich kucharka, przyszykowała dla niej porcję ulubionego musli ze świeżymi truskawkami i sok z pomarańczy a dla jej kompana, miskę przedniej wołowiny. Kiedy oboje z Luciusiem najedli się do syta, choć dog zapewne w stanie by był zjeść jeszcze dwie takie porcje, umościli się na sporej kanapie oglądając The Simpsons lub jak Lucius, śpiąc.

Jednak mimo to, że czuła się błogo, w głowie Hope wciąż i wciąż pojawiał się cholerny D  
KROPKA COLIN.

## EMANUEL I NIESPODZIANKA

Przez resztę tygodnia Hope starała się nie zaprzętać sobie głowy osobą doktora Colina. Choć przyznać musiała, iż za każdym razem, kiedy tylko gdzieś wpadła jej myśl o nim, niemal cała drżała ze złości. Judi miała rację, nazywając go dupkiem, o czym Hope nie raczyła jej nie poinformować. Obie spędziły cały czwartkowy wieczór na obgadywaniu go i wyrzucaniu swoich żali na bucowatym szefie przyjaciółki. Na szczęście Hope była zbyt pochłonięta dopinaniem do końca wszelkich spraw związanych z przyjęciem pożegnalnym Emanuela, by myśleć o doktorze D. Colinie i kiedy nadszedł oczekiwany wieczór w weekend po ich pierwszym spotkaniu w klinice, Hope całkowicie wyrzuciła doktora z głowy.

Spoglądając z końca sali, gdzie ustawione były stoły z bufetem, na spacerujących po parkiecie gości, Hope nie mogła nie pękać z dumy. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Przystawki i główne dania znikwały ze stołów w zatrważającym tempie, szampan łał się strumieniami, a orkiestra smyczkowa spisywała się na medal, tak samo, jak jej cateringowy team, który uwijał się w pocie czoła, spełniając zachcianki gości i dostarczając, co rusz nowej partii jedzenia. Wśród gości przybyłych pożegnać Emanuela, znaleźli się przedstawiciele kilku partii politycznych, znakomici lekarze z różnych zakamarków kraju, burmistrz miasta, a nawet kilku aktorów.

Tak, Hope była z siebie dumna i nawet cena za wynajęcie sali filharmonii na ten wieczór, nie pozbawiła jej dobrego humoru, który poprawiał się za każdym razem, kiedy tylko widziała uśmiechniętą twarz jej przyjaciela. Emanuel stał właśnie w kącie sali, gawędząc wesoło z Samem i Alison. Jakby czując na sobie jej spojrzenie, odwrócił się i wysłał jej w powietrzu całusa, którego Hope złapała w pięść i przytknęła do serca. Takiego samego całusa nagrała na telefonie i wysłała do Charlotte, która wraz z Denisem i dziećmi, domagała się od Hope zdjęć i sprawozdania z wieczoru.

Patrząc teraz na przyjaciela, Hope musiała przyznać, że Emanuel jak na swoje ponad siedemdziesiąt lat wyglądał niezwykle młodo i atrakcyjnie w czarnym, dobrze skrojonym garniturze. Jego niebieskie oczy zaśniły wesoło, kiedy Alison porwała go do tańca. Hope z nieskrywanym podziwem obserwowała jego pewne i płynne ruchy i niemal popłakała się, kiedy zakręcił Alison wokół jej osi, a przyjaciółka o mało nie poślizgnęła się na trenie swej długiej sukni barwy écru. Szkoda, że Sajmon stanowczo odmówił brania udziału w przyjęciu pożegnalnym Emanuela, wykręcając się pożegnalną szklaneczką whiskey, którą mieli wypić na następnej partyjce brydża. Zapewne i go, Alison wyciągnęłyby na parkiet.

— Do twarzy Pani w czerwonym.

Hope podskoczyła jak poparzona, słysząc koło swego ucha cichy szept. Obróciła się szybko do intruza i sama niemal nie skończyła jak jej przyjaciółka przed chwilą. Przed nią stał doktor Colin, ale na wszystko, co święte! Wcale a wcale nie wyglądał jak on.

Uśmiechał się do niej, co samo w sobie było już dziwne, a jego oczy mrużyły się, kiedy prześlizgnął wzrokiem po jej ciele ubranym w krwisto czerwoną suknię od Chanel. Hope w pierwszej chwili chciała zasłonić się dłońmi, gdy tak na nią patrzył, czuła się wtedy, jakby była naga, a skrywały ją przecież całkiem pokaźne ilości materiału. Tak po prawdzie oprócz dekoltu na plecach, była całkowicie skąpana w czerwieni, od stóp do głów, przez ramiona do dłoni.

— Ty... — Zachłysnęła się śliną, oglądając go dokładnie.

Doktor Colin w szykownej marynarce w odcieniu głębokiego granatu, z białą koszulą i związanym, byle jak krawatem wyglądał jak milion dolarów. Niesforne włosy opadały mu na czoło kilkoma pasmami, jakby buntowały się przeciwko zaczesywaniu ich do tyłu, srebrny Rolex wystawał spod rękawów marynarki, co razem sprawiało, że wyglądał jak model, który dopiero co zrobił sobie przerwę w sesji zdjęciowej. Był bardzo seksowny i do tego tak rozkosznie pachniał.

— Panno Lanstor.

Niechętnie podniosła oczy do jego twarzy i z miejsca się nastroszyła. Facet uśmiechał się do niej, lecz tym razem był to uśmieszek pełen wyższości. Jakby wiedział jakie wrażenie na niej zrobił.

Drań, zawyła w myślach, ale nie spoliczkowała go, choć miała na to ochotę od pierwszego dnia ich spotkania.

— Ekhm... — odkaslnęła. — Doktorze Colin.

— Proszę mi mówić Dru. Nie jesteśmy w szpitalu.

Hope spojrzała nieufnie na wyciągniętą do niej dłoń doktora. Mówiąc szczerze, miała ochotę go w nią trzepnąć, lecz posłusznie i niechętnie uścisnęła ją. Spodziewała się twardej, zimnej skóry, ale dłoń doktora była miękka, odrobinę szorstka, ale to jej nie przeszkadzało, a jego uścisk był o wiele delikatniejszy i cieplejszy, niż sądziła.

— Hope.

Między nimi zapadła niezręczna cisza, podczas której doktor przyglądał się jej jak jakiemuś eksperymentowi medycznemu i stanowczo za długo ścisnął jej dłoń. Hope wyrwała ją nieuprzejmie, ale nie przejęła się, gdy doktor posłał jej zdziwione spojrzenie.

Nie znosiła go i lepiej, żeby on o tym wiedział.

— Zorganizowała Pani całkiem niezłe przyjęcie — rzekł, sięgając po kieliszki z szampanem i podając jej jeden z nich.

Całkiem niezłe?!

Miała ochotę oblać go szampanem. Przez ponad pół roku Hope tyrała jak wół, by impreza pożegnalna Emanuela była wydarzeniem roku. Siedziała po nocach, aby wszystko było dopracowane do perfekcji, na którą jej przyjaciel zasługiwał jak nikt inny. Przekąski przygotował jeden z najlepszych kucharzy w mieście, wydała setki tysięcy na wynajęcie tej sali i nawet ten pieprzony szampan był wart ponad dwa tysiące funtów za butelkę, a to tylko dlatego, że pochodził z edycji z okazji ślubu Księżnej Diany z Księciem Karolem, którą Emanuel podziwiał i uwielbiał. A ten... Ten doktor ma czelność mówić, że całkiem niezłe sobie to wykombinowała?!

— Dziękuję — warknęła przez zaciśnięte zęby, upijając łyk szampana, by zająć czymś usta, z których prawie wylała swój żal.

Doktor Colin wychylił lampkę i zrobił minę, jakby szampan nie był, Bóg wie czym, przez co Hope o mało nie dostała zawału.

— Oczywiście, jest kilka niedociągnięć — powiedział ku jej przerażeniu, sięgając po drugą lampkę.



— Słucham? — zachłysnęła się łykiem.

— Cóż... — westchnął, rozglądając się po sali wypełnionej ludźmi. — Gdybyś naprawdę chciała uczcić odejście Emanuela, to wiedziałabyś, że on nie znosi bankietów. Zamówiłabyś też grupę rockową, a nie tych męczyduszków w garniturach z czego, muszę to głośno powiedzieć, jeden wiecznie gubi rytm. No i może zamiast tych dziwnie wyglądających przystawek zainwestowałabyś w steki i sałatkę ziemniaczaną.

Z każdym jego słowem szczęka Hope opadała coraz niżej i niżej a jej oczy otwierały się coraz szerzej. Czy ten gbur miał czelność przybyć na bankiet tylko po to, aby zepsuć jej wieczór? Tego było już za wiele!

Drań wytykał jej błędy i w dodatku insynuował, że nie zna Emanuela, a on był przecież jej przyjacielem, od kiedy pierwszy raz trafiła do szpitala. Jak on mógł?! Drań, drań, drań!

— Całe szczęście, że to nie Pan organizował ten bankiet, bo zamiast kulturalnej imprezy mielibyśmy tu zlot harleyowców i przydomowy piknik — warknęła, z hukiem odstawiając kieliszek na stół. — Doktorze Colin.

Już miała zamiar odwrócić się i uciec przed tym cholernie seksownym gburem, kiedy on złapał ją za dłoń, nie pozwalając się oddalić ani na krok. Hope zbombardowała go wzrokiem i znienawidziła jeszcze bardziej, kiedy ujrzała na twarzy doktora Colina zaczepny uśmieszek.

— Dru! — Usłyszeli oboje w momencie, gdy doktor już otwierał usta, by coś powiedzieć.

Hope spojrzała ponad jego ramieniem, co nie było oczywiście łatwe ze względu na jego wysoki wzrost i zamarła widząc nadchodzącą w ich kierunku piękność. Kobieta, prawdopodobnie rówieśniczka doktora, miała długie, gęste włosy barwy miodu ułożone w szykowną fryzurę opadającą jej przez lewe ramię. Jej długa do ziemi suknia mieniła się wszystkimi odcieniami zieleni w światłach świec i kryształów a jej piękny uśmieszek mógłby być firmową wizytówką jakieś znanej marki pasty do zębów. Prócz niewielkiego wisiora na szyi, nie miała ona żadnej biżuterii i Hope musiała przyznać, że pierwszy raz pozazdrościła komuś wyglądu.

Ta kobieta była zjawiskowa i najwyraźniej należała do doktora Colina. Podeszła do nich i położyła zaborczo dłoń na jego ramieniu, wciąż uśmiechając się szeroko, mimo że musiała dostrzec splecione z palcami Hope palce jej mężczyzny. Hope wyrwała dłoń i szybko chwyciła w nią kolejny kieliszek, wciąż obserwowana baczny wzrokiem lekarza i bombardowana zdenerwowanym uśmiechem kobiety.

— Dru, nie przedstawiś mnie? — zaszczebiotała, kiedy trwali w ciszy a Hope miała już zamiar wykręcić się jakimś kłamstwem i uciec przed doktorem w ciemny kąt.

— Penelopo to Hope Lanstor. Panno Lanstor to Penelope Jamson — rzucił od niechcienia.

Oczy Penelope zabłyśły w rozumieniu i z jeszcze większym uśmiechem, z entuzjazmem wyciągnęła dłoń do Hope, którą ta uściśnęła krótko.

— Panno Lanstor, to zaszczyt Panią poznać — powiedziała Penelope. — Byłam w tamtym roku na weselu mojej przyjaciółki, kiedyś panny Hampton, które Pani firma zorganizowała. Od razu się zakochałam i wiedziałam, że jeśli, kiedykolwiek wyjdę za mąż, to właśnie Panią poproszę o organizację.

Mówiąc to Penelope spojrzała wymownie na doktora Colina, ale on jedynie upił kolejny łyk szampana, patrząc dookoła jakby komentarz Penelope wcale go nie dotyczył.

Biedaczka, pomyślała Hope czując sympatię do kobiety.

— Dziękuję — odparła uprzejmie. — Panna Hampton jest przeuroczą osobą. Bardzo miło mi się z nią pracowało.

Kłamała. Panna, niegdyś, Hampton była w rzeczywistości okropną, rozpieszczoną dziewczuchą zmieniającą zdanie średnio, co drugi dzień i Hope musiała włożyć wiele sił i samozaparcia, by nie rzucić jej planami w twarz. Najwyraźniej tego samego zdania był doktor Colin, gdyż wywrócił wymownie oczami i cicho prychnął pod nosem.

Niezrażona tym Penelope wkleiła się w jego bok. Cóż takiego ma w sobie ten mężczyzna, że kobieta tak sympatyczna, jak ona kleiła się do niego jak mucha do smoły?

— Jestem pod ogromnym wrażeniem — powiedziała Penelope patrząc po przystawkach.

— Miło mi to słyszeć — odparła, chcąc jak najszybciej wyrwać się spod ciężaru spojrzenia Colina, który znowu go w niej utkwiał. — Niestety, niektórzy twierdzą, że nie postarałam się zbytnio.

Mówiąc to, rzuciła ostre spojrzenie doktorowi, ale Penelope nie zauważyła tego, albo zignorowała to. Znowuż doktor Colin uśmiechnął się za szkła, jak na zimnego drania przystało i tak już został.

— Bzdura — zawołała Penelope. — Jest wspaniale.

— Jeszcze raz dziękuję. — Hope odstawiła kieliszek i wyciągnęła dłoń do kobiety. — Niestety, muszę teraz powrócić do moich obowiązków.

— Oczywiście — przytaknęła, ściskając mocno jej dłoń. — Do zobaczenia.

Posyłając jej uprzejmy uśmiech, Hope szybko odeszła w kierunku znajdujących się po przeciwległej stronie sali toalet. Musiała opłukać twarz zimną wodą, by nie wrócić i nie zabić doktora Colina. Przedzierała się przez tłumy ludzi witających ją i gratulujących jej wspaniale wykonanej roboty i kiedy była już dwa metry przed toaletami, niemal rzuciła się do drzwi. Nie dane jej jednak było skorzystać z ich dobroci, gdy czyjaś dłoń złapała ją za ramię i pociągnęła do swojej twardej piersi.

— A tu jest mój anioł stróż! — Zagrzmiął zdrowy śmiech Emanuela.

Hope automatycznie wkleiła się w bok przyjaciela, modląc w duchu, by nie zauważył furii w jej oczach. Na pewno zaczęłyby drążyć temat, a na to Hope nie miała ochoty.

Przy nich, w małym okręgu, stała grupka ludzi składająca się z ordynatorów innych oddziałów ich kliniki i ich małżonkowie. Anni Borton, nowa ordynator chirurgii dziecięcej uścisnęła ją serdecznie, przedstawiając swego męża Doriana, a Friderik Vonstron niemal od razu zasypał ją pytaniami o współpracę jej fundacji z oddziałem kardiologii.

— Moglibyśmy zorganizować zbiórkę pieniężną na nowy sprzęt — zawołał, ciągnąc ją do siebie.

— Wielu pacjentów mogłoby na tym skorzystać.

— Możemy o tym pomyśleć — odparła, wymijająco chcąc się wyswobodzić z jego dłoni.

— Friderik! — Zgromił go Emanuel. — Zostaw dziewczynę w spokoju. To bankiet na moją cześć, a nie przetargi.

Powiedziawszy to, Emanuel pociągnął ją do siebie i zarzucił ramię na jej barki. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, a on puścił do niej porozumiewawcze oczko. Wiedział, jak bardzo nie lubi być otaczana przez ciągle od niej czegoś chcących ordynatorów niczym łowna zwierzyna na polowaniu.

— Oczywiście, oczywiście — przytaknął mężczyzna, poprawiając za duże okulary. — Masz rację Emanuela. Wybacz Hope.

— Zawsze mam rację — przekomarzał się z nim Emanuel, robiąc przy tym minę, jakby wypominał mu jakiś błąd sprzed lat.

— Och daj żyć, starcze. — Friderik zaśmiał się nerwowo. — To było dobrą dekadę temu.

Serdeczne śmiechy reszty lekarzy, zawtórowały tubalnemu śmiechowi Emanuela.

— Znowu wypomina ci waszą grę w skrabie sprzed stu lat?

Hope zmarszczyła nos na widok pojawiającego się w towarzystwie Penelopy, doktora Colina. Friderik uścisnął jego dłoń, którą Colin do niego wyciągnął. Jak dżentelmen, za którego Hope wcale go nie uważała, doktor przywitał się z resztą gości i nawet zdobył się na ucałowanie dłoni dam.

Czy on już zawsze będzie pojawiał się wszędzie tam, gdzie i ona się znajdzie? Czy nawet w gronie przyjaciół będzie skazana na jego towarzystwo?

— Dru, chłopcze — zawołał Emanuel, wypuszczając z objęć Hope.

Przytulił mocno Colina, jakby byli starymi znajomymi i ucałował policzek Penelope, który do niego wystawiła.

— Hope. — Emanuel zwrócił się do niej, znowu ją do siebie przytulając. — Zapewne poznałaś już mojego wnuka i twojego lekarza, Dru oraz jego precudowną partnerkę Penelope.

ŻE, CO?!

Hope zachwiała się na nogach, patrząc na Emanuela, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu. W dodatku jakby miał na głowie rondel z makaronem.

On nie mógł mówić poważnie. Nie mógł być... On nie mógł być dziadkiem tego buca! Nie, nie i jeszcze raz nie! To niemożliwe, by Colin był wnukiem tak dobrodusznego i wspaniałego człowieka, jakim był Emanuel. Musiał być adoptowany! Hope nie potrafiła przekonać się do myśli, że w żyłach Colina płynęła ta sama krew, co w żyłach Emanuela. Cholera, nie!

Ale im dłużej patrzyła na Colina i Emanuela, tym większą podobiznę między tymi dwoma dostrzegała. Te same błękitne oczy, choć u jednego ciepłe i czułe a u drugiego zimne i cierpkie, te same mocne szczęki, te same blond włosy i nawet te same fryzury. Obaj byli tak samo wysocy i tak samo zbudowani.

Cholera, wyjęczała w duchu. Oni naprawdę byli spokrewnieni.

Dostrzegając ciszę, jaka wokoło nich zapanowała i sarkastyczny uśmiezek wpływający na usta jej nowego lekarza, Hope szybko zamknęła usta i spojrzała na Emanuela.

— Wyglądasz na zaskoczoną aniele. — Emanuel zmartwiony przyjrzał się jej twarzy.

— Cóż, nie wiedziałam, że to twój wnuk — powiedziała szczerze.

— Nie pochwaliłeś się tym? — Zwrócił się do Colina, który jedynie wzruszył ramionami.

— Nie czułem takiej potrzeby — odparł, pozwalając, by Penelope mocniej się do niego przykleiła.

— Poza tym nie chciałem, aby mierzyli mnie twoją miarą, do której jeszcze mi daleko.

Miło polechtany Emanuel odparł podziękowanie i rozpoczął temat swoich planów, jakie miał zamiar zrealizować na emeryturze. Ciesząc się, iż uwaga gości skierowała się z jej osoby na inne tory, Hope znacznie się rozluźniła i wciąż ściszana przez przyjaciela żartowała razem z nimi, popijając szampana i czując, jak większość złości na Colina odchodzi w zapomnienie.

Kiedy grubo po dwunastej goście zaczęli rozchodzić się do domu, a w tym dzięki Bogu doktor Colin i jego zawieszka na szyi w postaci Penelope, Hope usiadła na jednym z krzeseł, podając Emanuelowi szklankę wody. Przyjaciel z przewieszoną przez krzesło marynarką i rozpiętą koszulą, której krawat wystawał z kieszeni jego spodni, z wdzięcznością przyjął ją z jej dłoni i rozsiadł się wygodnie na małej sofce.

— To było wspaniałe przyjęcie. Dziękuję aniele — rzekł, całując wierzch jej dłoni.

Hope skinęła mu głową, ale nic nie odparła.

— Co ci jest?

— Dlaczego nie powiedziałaś, że wolałbyś zorganizować grilla w akompaniamencie AC/DC, zamiast spacerować po sali w garniturze?

Nie wiedziała czemu, o to zapytała. Nie chciała robić wyrzutów Emanuelowi, ale słowa jego wnuka ciągle i ciągle wierciły jej dziurę w głowie i nie dawały spokoju przez cały wieczór. Czyżby tak mało znała swojego przyjaciela?

— Skąd ten pomysł? — zapytał zaskoczony.

Czując się cholernie głupio, Hope popatrzyła na czubki swych szpilek.

— Twój wnuk mi o tym powiedział — odpowiedziała, patrząc na Emanuela spod włosów, które dopiero co uwolniła z ciasnego koka.

Emanuel westchnął ciężko, kręcąc głową na boki.

— Cały Dru — mruknął. — Jest taki sam, jak jego mama, wiesz? Oboje są szczerzy do bólu.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś? — ponagliła go zawiedziona.

Przyjaciel westchnął ponownie, jakby jakiś wielki ciężar spoczął na jego barkach. Po chwili wstał i przysiadł na krzesełku obok Hope. Przytulił ją do siebie, a do jej nosa wleciał przyjemny zapach jego wody kolońskiej, ten, który tak bardzo jej się z nim kojarzył.

— Nie chciałem sprawiać ci przykrości, aniele — rzekł zmęczonym głosem. — Widziałem, jak wiele radości sprawia ci organizowanie tego przyjęcia.

— Nie chodziło tu o mnie — powiedziała z siłą, unosząc na niego wzrok. — Tu chodziło o ciebie. Myślisz, że męczyłabym cię tym całym spektaklem, gdybym wiedziała, że tego nie chcesz? Gdybyś tylko szepnęła słowo, zabrałabym cię nawet na ryby i siedziałam w łódce przez pół dnia i nocy. Tylko po to, żebyś ty był szczęśliwy.

Emanuel przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, zamykając ją w klatce ze swych ramion.

— Przepraszam aniele. — Zadudnił jego głos. — Obiecuję, że następnym razem powiem od razu, jeśli coś mi się nie spodoba.

— Mam nadzieję — burknęła, ale uśmiechnęła się do niego. — Wiesz w końcu, jak bardzo nienawidzę łowienia ryb.

Oboje zaśmiali się na wzmiankę ich ostatniego i jedyne wypadu nad rzekę. Hope wystraszyła się, kiedy jej wędka zaczęła ciągnąć w dół, wypościła ją z dłoni i odskoczyła do tyłu posyłając stojących za nią Sajmona i Emanuela wprost do zimnej wody. Cóż, na ryby lepiej jej było ze sobą nie brać.

— Mam nadzieję, że nie wszystko było spartaczone — powiedziała, kiedy przestali się przekomarzać.

— Jeden z grajków trochę gubił rytm — zaczął Emanuel, ale dostrzegając jej minę, szybko zmienił temat. — Ale szampan był pyszny.

— „Diana i Karol” — przypomniała mu. — Specjalnie dla ciebie.

— Wiem i jestem wdzięczny.

Jeszcze chwilę milczeli w swoim towarzystwie, przyglądając się zbierającym jedzenie i brudne talerze kelnerom i kelnerkom.

— Co zrobisz z taką porcją jedzenia, aniele?

— Powiedziałam personelowi, że jeśli chcą, to mogą ze sobą je zabrać, a to, co zostanie, zapakuję do chłodni i zawiozę z samego rana do schroniska dla bezdomnych — odparła, wstając na równe nogi. — Muszę i tak się tam wybrać na dniach. Mam dla nich przyszykowane kilkanaście worków z zimową odzieżą, które dostałam od moich znajomych z klubu sportowego. Jak tak dalej pójdzie, zdołamy uzbierać niezłą ich ilość do zimy. A jeśli zdążę ze wszystkim do jesieni, to już we wrześniu wyremontujemy dwa górne piętra, by mogli przyjąć więcej potrzebujących.

— Aniele... — Emanuel powstrzymał jej słowotok ruchem dłoni. — Wiesz, że nie uratujesz całego świata, prawda?

Hope przyjrzała się mu uważnie i posłusznie pokiwała głową. Wiedziała to, niestety wiedziała.

— Wiem — przytaknęła. — Ale mogę, chociaż się postarać.

Jeszcze chwilę Emanuel przyglądał jej się w milczeniu, a w spojrzeniu tym Hope dostrzegła tak wielkie podobieństwo ze spojrzeniem doktora Colina. Kiedy Emanuel pokręcił głową na boki, wiedziała już, że jej odpuścił. Przyjaciel podniósł się ociężale i chwycił w dłoń marynarkę.

— Zbieram się już — powiedział, całując jej policzek. — Jestem za stary na całonocne pogaduchy z dwudziestolatką.

— Podwieźć cię?

— Nie trzeba. — Emanuel zarzucił na ramię czarną marynarkę. — Dru mnie odbierze. Powinien tu zaraz być.

— Już jestem.

Zaskoczeni spojrzeli w kierunku głównego wejścia. Doktor Colin stał oparty ramieniem o framugę drzwi i przyglądał się im badawczo. A raczej przyglądał się jej i Hope zastanawiała się, jak wiele z ich rozmowy usłyszał. Nie rozmawiali o niczym nadzwyczajnym, ale mimo to poczuła się zawstydzona. Rumieniąc się, odwróciła wzrok do Emanuela, który uściśnął ją niczym ojciec, w przelocie całując jej czoło.

— Do zobaczenia aniele — rzekł, idąc ku stojącemu wnukowi. — Pozdrów Sajmona i powiedz mu, że czekam na okazję odegrania się w brydża.

— Do zobaczenia — zawołała za nim i omijając doktora wzrokiem, powróciła do patrzenia, jak jej pracownicy zbierają resztę naczyń.

Wnuk... No tak. Musiała wierzyć, że Emanuel wie, co robi, dając mu posadę ordynatora.

## DENIS I CHARLOTTE KLÓCĄ SIĘ O GRĘ

W pochmurny i parny poniedziałek, jak zwykle podjechała limuzyną pod główne wejście szpitala. W głowie planowała, jak mogłaby przemknąć przez zatłoczone korytarze i nie dać się złapać swojemu lekarzowi. Jego okropne komentarze wciąż wierciły w brzuchu Hope istną dziurę po wybuchu atomowym i najmniej czego chciała, to natknąć się na niego i wysłuchiwać dalej tych bzdurnych uwag. Już udało jej się przejść obok recepcji, za którą siedziała Monik, druga recepcjonistka i nie zostać zauważoną i prawie była przy drzwiach bawialni, świętując w głowie swoje małe zwycięstwo, kiedy przed nią, jak spod ziemi, wyrósł doktor Colin.

— Panno Lanstor.

Kurw... Pomyślała, łapiąc się w połowie myśli za język.

Zatrzymała się raptownie, aby nie wpaść nosem w jego, no cóż, ładnie pachnący tors i nie zrobić z siebie idiotki stulecia na oczach odwiedzających i lekarzy. Wyprostowała się dumnie, gotowa do starcia z tym dinozaurem uprzejmości, poprawiając odruchowo rudy, spięty tyśnięcem spinek kok.

— Doktorze Colin — przywitała go, starając się ominąć.

Nie dał jej jednak na to najmniejszej szansy. Stał w otwartych drzwiach bawialni, zastając swoją sporą sylwetką całe wejście. Uśmiechnął się przy tym niemal uprzejmie i założył ręce na piersi. Przez chwilę oglądał ją jakby była pod mikroskopem, ale zaraz spoważniał i odchrząknął w zaciśniętą pięść.

— Chciałbym... — Znowu chrząknięcie. — Cóż, tak na dobrą sprawę to...

— Czy coś się stało? — zapytała, kiedy zamilkł i nie odzywał się przez dłuższą chwilę. — Coś z dziećmiakami?

Spojrzał na nią tak, jakby dopiero co ją zobaczył i jakaś dziwna myśl musiała przejść mu przez głowę, bo zmarszczył brwi i obciął ją podejrzliwym spojrzeniem. Zaraz jednak zaprzestał i ponownie stanął z dłońmi na piersi.

— Nie, nie — zaprzeczył szybko. — O to proszę się nie martwić.

Okey, pomyślała Hope, to robi się coraz dziwniejsze.

— Chciałem podziękować — wykrztusił w końcu, tak cicho, że niemal myślała, iż się przesłyszała,

— Za co? — zapytała zaskoczona.

Doktor Colin rozejrzał się uważnie po otoczeniu. Zapewne nie chciał, by ktoś z jego personelu nie spostrzegł, jak on komuś dziękuje. Co tu dużo mówić, z tego, co orientowała się Hope, wszyscy mieli go za dupka i zapewne taki stan rzeczy mu odpowiadał. Pewnie nie chciał, by sądzili inaczej.

— Za przyjęcie na cześć Emanuela — rzekł, a szczęka Hope wylądowała na ziemi. — Włożyła Pani w to dużo pracy, chociaż sam zapewne zrobiłbym to inaczej...

Och nie. Tego już za wiele. Ten mężczyzna nie potrafił nawet podziękować bez wytykania ludziom błędów.

— Doktorze Colin — warknęła przez zaciśnięte szczęki. — Nie organizował Pan i jak już Pan

wspomniał, włożyłam w to dużo pracy. Także... Proszę bardzo i nie ma za co. Do widzenia.

Nie zaczekawszy na odpowiedź, bardzo nieuprzejmie popchnęła go delikatnie w bok i weszła do bawialni, zamykając za sobą drzwi z hukiem. A przynajmniej na tyle głośno, by on zrozumiał aluzję, a dzieciaki nie dostały zawału.

Okropny, wyniosły, arogancki... Aghrr... Drań.

— Co o tym myślisz? — zapytała dwie godziny później, pokazując Charlotte kilka z próbek materiałów w różnych odcieniach zieleni, z których miała wybrać jeden jako materiał na obrusy na ślub kolejnych klientów.

— Ten jest za ciemny — odpowiedziała dziewczynka, wskazując najciemniejszy ton swoim chupa chupsem o smaku coca-coli. — Tematem ma być „Miłość wiosną” a nie wydaje mi się, żeby wiosna miała taką... Sraczkowatą barwę.

— Charlotte — zaśmiała się Hope, ale od razu przyznała jej rację.

Co jak co, ale Charlotte miała nosa do barw a Hope z chęcią pokazywała jej próbki, wiedząc, iż trzynastolatka ma prawdziwy gust.

— A ten? — zapytała, wskazując kolejną próbkę.

— Nie. — Charlotte pokiwała głową na boki. — Za jaskrawy. Co powiesz o tym?

Spojrzała w kierunku, w jakim wskazywał lizak dziewczynki i przytaknęła z podziwem.

— „Wiosenny raj” — przeczytała na odwrocie materiału. — Masz rację. Ten jest idealny.

— Możemy w końcu pograć na konsoli? — wyjęczał Denis, sadowiąc się między nimi na dywanie pod ścianą.

— Denis — skarciła go dziewczynka. — To ważne sprawy.

— Wasze dziewczyńskie sprawy są nudne — burknął, ale z zaciekawieniem zaczął oglądać rozłożone przed nimi próbki. — Hitman jest o wiele ciekawszy.

Oburzona Charlotte założyła chude rączki pod boki i ciskała gromami z oczu w chłopca. Panie chroń, by kiedyś tak spojrzała na swojego męża, zapewne od razu dostanie, co tylko zechce.

— Hitman to głupia gra dla głupich chłopców — powiedziała wyzywająco.

Widząc czerwone policzki Denisa, Hope szybko wstała na równe nogi, czując nadciągającą kłótnię.

— Może pogramy w chińczyka? — zaproponowała ugodowo.

Oboje milczeli chwilę, myśląc nad jej propozycją, lecz zaraz zgodzili się i razem pomaszerowali do stolika na środku bawialni. Dzisiaj w bawialni była tylko ich trójka. Reszta dzieciaków rozproszyła się ze swymi rodzicami po oddziale, chcąc spędzić z nimi miłe chwile sam na sam w rodzinnym gronie. Denis... Jak to niestety bywało w przypadku sierot, rzadko kiedy był odwiedzany przez kogokolwiek. Od czasu do czasu przychodzili do niego koledzy z sierocińca, ale on sam nie czuł z nimi zażyłości, tak jak było to w przypadku Hope czy Charlotte. Znowu jej rodzice musieli wrócić do domu, znajdującego się na drugim końcu kraju, by pozatławić resztę spraw związanych z przeprowadzką i sprzedażą starego domu. Tak więc, czy tego chcieli, czy nie, utknęli w bawialni



razem z Hope.

— Zapewne jest ci smutno z powodu sprzedaży domu — zagadnęła Hope siadając naprzeciw Charlotte.

— Nie, niezbyt. — Dziewczynka wzruszyła ramionkami. — Smutno mi, że nie mogę zobaczyć się z Lordem Kłem.

Hope uścisnęła jej dłoń, wiedząc doskonale, jak musi czuć się Charlotte. Sama tęskniła za Lucusem podczas długich miesięcy rehabilitacji i terapii, a stary, ledwo chodzący i jednooki kot Charlotte, był dla dziewczynki jak członek rodziny. Miała go od zawsze.

— Ja, jak stąd wyjdę, kupię sobie wielkiego wilka — zawołał Denis, stawiając przed nimi zapakowaną w karton grę.

— Denis — mruknęła Charlotte. — Wilka nie można kupić, są pod ochroną i są dzikie. Możesz ewentualnie kupić sobie wilczura.

— To kupię wilczura — rzekł niewzruszony. — Jak będę dorosły, to będę bogaty i będzie stać mnie na wszystko. Będę tak bogaty, jak Hope, albo jeszcze bardziej.

— Pieniądze to nie wszystko, smyku — odparła i poczochnęła go po głowie, oczywiście ku jego wielkiemu niezadowoleniu.

## OKO WIELKIEGO WIELORYBA

Po kilku rundach gry, podczas których przegrała z kretelem z ośmiolatkiem i trzynastolatką, Hope zebrała swoje rzeczy i pożegnała się z dziećmi. Zabrała ze sobą tylko próbkę „Wiosennego raję” resztę zostawiając Charlotte, by mogła dołączyć je do swojej, dość imponującej kolekcji, którą trzymała w kartonie po butach pod łóżkiem. Dzisiejszego popołudnia nie wracała do pracy, miała zamiar odwiedzić Elli i może zabrać ją na pączki do ich ulubionej kafeterii.

Jadąc przez centrum, zadzwoniła do przyjaciółki i obie wspólnie ustaliły, iż mają zbyt wiele do omówienia, by wychodzić na zatłoczone ulice, dlatego też zdecydowały, iż pączki i kawę spenetrują w mieszkaniu Elli. Odsyłając Thomasa na przerwę, Hope wgramoliła się po schodach starej kamienicy na trzecie piętro i bez pukania weszła, przepychając się w drzwiach z ogromnym kartonem pełnym słodczy.

Mieszkanie Elli nie było wielkie, ale ciepłe i przyjemne. Wszędzie dominowały barwy ziemi i drewna, kremowe ściany i miękkie materiały. Kuchnia, w której najchętniej przesiadywały, a która ledwie w stanie była pomieścić je dwie naraz, miała meble z jasnego drewna i staromodną kuchenkę na gaz. Okna wychodziły na główną ulicę i mieszczący się za nią niewielki park z placem zabaw dla dzieci. Na stoliku pod nimi rozłożone były zdjęcia, pocztówki i pamiątki, jakie Elli przywiozła ze swojej podróży.

Hope siedziała cicho, połykając kolejne pączki, słuchając opowieści Elli, która co rusz wciskała jej do dłoni kolejne zdjęcia z twarzami uśmiechniętych do niej osób. Nie znała ich, ale dzięki historiom, jakie jej przyjaciółka właśnie jej przekazywała, miała wrażenie, że zna każdego członka jej rodziny.

— A to, to dostałam od mojej babki — powiedziała podając Hope bransoletkę wykonaną z drewnianych koralików. — Specjalnie dla ciebie.

— Boże, to wygląda wspaniale — odparła, przyjmując do dłoni prezent.

Koraliki bransoletki były dokładnie oszlifowane i pomalowane ciemną emulsją, dzięki czemu lśniły w resztkach sierpniowego słońca niczym brązowe diamenty. Kilka z nich było pomalowanych na zielono, inne na czerwono a największy z nich sprawiał wrażenie wielkiego oka.

— Co to jest? — zapytała, wskazując koralik.

— Oczy potężnego wieloryba — powiedziała Elli z dumą, stawiając przed Hope kubek świeżo zmielonej kawy. — Chroni przed złymi urokami.

Hope wstała szybko, przytulając się do roześmianej Elli.

— Jest niesamowita — westchnęła z wdzięcznością. — Dziękuję.

— Proszę skarbie. — Elli poklepała ją po plecach, pomagając zapiąć bransoletkę na nadgarstku Hope.

Kiedy już uporały się z zamkiem, obie zajęły miejsce przy stoliku, opychając się kalorycznymi bombami w postaci pączków. Towarzyszyli im do tego dwaj dżentelmeni imieniem Ben i Jerry o smaku czekolady z miętą, którzy pozostawiali po sobie miły, świeży posmak na języku.

— Po twojej ostatniej wizycie w klinice, nie miałyśmy czasu porozmawiać — powiedziała Elli,

pochłaniając wielką łyżkę lodów. — Jak nowy lekarz?

— Dupek — westchnęła Hope dmuchając na parującą kawę.

— Tak myślałam.

— Wiedziałaś, że to wnuk Emanuela?

— Co? — Zaskoczona Elli ubrudziła brodę lukrem z pączka. — Naprawdę?

Kiedy Hope pokiwała smętnie głową, przyjaciółka upiła łyka kawy, parząc się nią w język. Przez chwilę nic nie mówiła, pakując do ust kolejne porcje zimnych lodów, by schłodzić nimi podniebienie.

— Nie możliwe — wysapała ze łzami w oczach.

— A jednak — odpowiedziała Hope podając jej jedną z chusteczek do nosa.

Elli przechwyciła ją i starła z policzków dwie, ogromne łzy.

— Cóż... — powiedziała w zamyśleniu, rzucając chustką przez kuchnię i trafiając nią w śmietnik.

— Jak tak się przyjrzyć, to urodę odziedziczył po dziadku.

— Elli! — skarciła ją wzrokiem.

Okey, okey. Doktor D KROPKA COLIN był przystojny. Nie można było mu tego nie przyznać, ale dla Hope, w obliczu tego, jak arogancki i nieuprzejmy był, tracił na swojej urodzie. Bo, choć niezmiernie przystojny, wciąż był tym samym gburem. A co do Emanuela... Od kiedy to Elli uważała go za przystojnego? Hope zawsze myślała, że Elli nie widzi w nim nikogo więcej, jak kolegi z pracy i uczynnego lekarza.

— No co? To już nie jest mój szef. — Elli wzruszyła ramionami, połykając kolejną łyżkę lodów. — Mogę się w końcu z nim umówić na lunch.

— Elli! Cholera!

Szybko starała się zetrzeć krople lodów, które niefortunnie pociekły z jej otwartej buzi. Nawet nie chciała sobie wyobrazić randkującej Elli i Emanuela. Nie, oni do siebie nie pasowali.

— Młoda damo, nie jestem z kamienia — odparła rozbawiona jej miną przyjaciółka. — Mam swoje potrzeby, których twój wujek nie chce zaspokoić, więc pomyślałam o Emanuelu.

— Elli!! — krzyknęła, zachłystając się Panem Benem.

~\*~

Kilka godzin później, siedząc na swym wielkim łóżku z „Portretem Doriana Graya” w jednej dłoni i kakao w drugiej, Hope usłyszała, jak drzwi jej sypialni uchylają się lekko, a do wnętrza wpada rozemocjonowany Lucius. Wskoczył na jej łóżko, podskakując na nim wesoło i szturchając ją nosem po dłoniach. Przyczyna jego ekscytacji weszła do pokoju zaraz za nim pod postacią Sajmona trzymającego w dłoni długą, sporej grubości smycz.

— Mały spacer? — Zadudnił w ciszy jego tubalny głos.

Hope przyjrzała mu się znad książki. Był wysokim mężczyzną o wyprostowanej, typowej dla

byłych żołnierzy posturze i z twarzą z wysuniętym dumnie podbródkiem. Dłonie, kiedy akurat niczego w nich nie trzymał, zazwyczaj chował splecione za plecami niczym generał sprawdzający stan swych wojsk albo nauczyciel pilnujący ciszy w sali. Jego jasne, szare oczy zdawały się skanować otoczenie w poszukiwaniu zagrożenia, nawet kiedy siedzieli na kanapie, obżerając się popcornem i żelkami.

Typowy były żołnierz, ale Hope musiała też przyznać, iż Sajmon był bardzo przystojnym mężczyzną pomimo swych sześćdziesięciu trzech lat i pasm siwizny przeplatanych z jego kruczymi włosami. W młodości musiał być bardzo urodziwym młodzieńcem i Hope zastanawiała się, jak to jest możliwe, że nigdy nie ożenił się i nie założył rodziny. Zapewne niejedna panna biegła za nim i jego mundurem, chcąc zwrócić jego uwagę na siebie.

— Czemu nie — odparła, odrzucając książkę na stolik nocny.

Sajmon uprzejmie poczekał na zewnątrz, aż przebierze się w powyciągane spodnie od dresu i za dużą bluzę miejscowej drużyny koszykarskiej. Lucius nie był takim dżentelmenem, skakał i lizał ją po twarzy, kiedy starała się naciągnąć skarpetki, a gdy ujrzał, jak wciąga buty do biegania, niemal wskoczył jej na grzbiet. Był tak podekscytowany ich wspólnym spacerem, iż ledwo otworzyli wejściowe wrota, a już go nie było. Gnał przez letni ogród, szczekając na wszystko dookoła.

Z przerażeniem Hope spostrzegła, iż pogoda staje się coraz mniej znośna. Burzowe chmury zakryły słońce, a powietrze stało się ciężkie, napierające na klatkę piersiową. Jak nic, miała zaraz spaść na nich kolejna fala niebiańskiej powodzi, psując im humory i zakłócając sygnał z kabłówki. I mimo że Hope żyła w tym rejonie od urodzenia, nie potrafiła przyzwyczać się do deszczowych lat i równie mokrych zim. Tęskniła za słońcem i w tym właśnie momencie obiecała sobie, iż jak tylko w jej pracy skończy się sezon na wesela, zarezerwuje bilety dla niej i Sajmona na Kostarykę gdzie kupili niedawno mały, uroczy domek nad plażą.

— I jak tam nowy lekarz? — zagadnął Sajmon, kierując ich ścieżką poprzez ogród. — Nic o nim nie wspominałaś.

Na wzmiankę doktora Colina humor Hope i tak zszargany przez okropną pogodę, jeszcze bardziej się pogorszył. Czy również podczas spaceru z Sajmonem, osoba okropnego lekarza musiała rzucić na nich swój cień?

— Chryste... Czy wszyscy się na mnie uwzięli? — wyjęczała.

— Dobrze... — Sajmon spojrzał na nią kątem oka. — Nie wiem, o co chodzi, ale pozwól, że zapytam ponownie. Jak minął ci dzień?

Hope zbombardowała go wzrokiem, ale on nadal rozglądał się z zaciekawieniem po otoczeniu, jakby widział je pierwszy raz. Lewą dłonią przejechał po wilgotnych od powietrza włosach i skrzywił się delikatnie. Zapewne znowu dokuczał mu bolący bark, nieodwracalna pamiątka po przebytych niedawno zawale. Czasami, a zwłaszcza w dni takie jak ten, bark dawał mu się ostro we znaki. I za każdym razem, kiedy Hope widziała u niego grymas bólu, miała wrażenie, że jej świat wariuje. Bo kto jak kto, ale jej Sajmon był przecież niezniszczalny, chronił ją przed złym i zawsze stał za jej plecami, gotowy do zaatakowania każdego, kto tylko krzywo na nią spojrzy. Ciągle zapominała, iż był już w podeszłym wieku i miał również prawo zachorować.

— To dupek — westchnęła, kopiąc leżący na jej drodze kamień.

— Niemożliwe, wnuk Ema...

— Wiedziałaś o tym? — zawołała, potykając się o swoje nogi.

W ostatnim momencie, nim zaryła twarzą w błoto, Sajmon złapał ją pod ramie i postawił na równe nogi.

— Wyjawiał mi to podczas brydża — rzekł, oglądając ją uważnie.

No tak, pomyślała. To było do przewidzenia. Mogła od razu zgadywać, iż Emanuel podczas ich partyjek brydża wyzna Sajmonowi kogo ma zamiar powołać na swoje stanowisko. Dlaczego od razu nie przyszło jej do głowy, by zapytać o to Sajmona?

— Uwierz wujku, to straszny dupek — burknęła, idąc dalej.

— Może ma jakieś ukryte atuty — zasugerował, równając się z nią w kroku.

— Elli też ich szukała i jakoś nie znalazła — powiedziała, odbierając z pyska Luciusa piłkę do tenisa i odrzucając mu ją w przestrzeń, za którą dog pognał jak szalony.

Na wzmiankę przyjaciółki, Sajmon uśmiechnął się nieznacznie, a jego oczy zabłysły delikatną iskrą uczucia. Uczucia ciepłego i tak życzliwego, jak tylko może być stan zakochania. Patrząc na Sajmona, który utkwiał rozmarzony wzrok w ścianie lasu przed nimi, Hope zastanawiała się, jak to jest możliwe, że ta dwójka jeszcze się nie zeszała. Przecież oboje, to było ewidentnie widać przy każdej pojawiającej się okazji, niemal całowali się oczami.

— Co u niej? — zapytał, siląc się na obojętny ton.

— Może sam byś zapytał?

Sajmon westchnął głośno. Zarzucił dłoń na ramię Hope i przytulił ją do swego boku.

— Nie...

— Dlaczego? — dociekała, obejmując go w pasie. — Elli to wspaniała osoba. Wiesz o tym.

— Tak, wiem — przytaknęła. — Niemniej, nie jestem pewny...

— Zadzwoń, to się dowiesz.

Przystanęli oboje, kiedy Sajmon raptownie zatrzymał się w miejscu. Przyglądał się z jej z przechyloną głową, skanując Hope swoim uważnym, ciepłym spojrzeniem.

— Czy ty chcesz mnie wyswatać, młoda damo?

— Ktoś musi. — Wzruszyła ramionami, ponawiając marsz. — Nie możesz całe życie opiekować się mną. Jestem dużą dziewczynką.

— Może kiedyś.

Dalej szli w przyjemnej ciszy, co jakiś czas rzucając piłką szalejącemu po ogrodzie Luciusowi a Hope zastanawiała się, czy to właśnie w tym leży problem. Czy Sajmon przez te lata tak bardzo przejął się jej chorobą i miał zamiar poświęcić się dla utrzymania jej w zdrowiu i radości, że miał zamiar zrezygnować z własnego szczęścia?

Cieszyło ją jego uczucie do niej, ona również kochała go jak własnego ojca, ale nie chciała patrzeć, jak jedyny członek jej rodziny rezygnuje z uczucia do wspaniałej kobiety i szansy na wspaniałe życie u jej boku, dla niej. Nie, tego Hope nie miała zamiaru robić. Nie miała najmniejszego zamiaru patrzeć, jak Sajmon odrzuca uczucie wspaniałej Elli dla niej. Nie. Co to, to nie. Ona już coś wymyśli.

## TO JESZCZE NIE KONIEC

Wesele April, starej znajomej Hope ze szkoły, z Bradem, którego koleżanka poznała na studiach prawniczych, trwało w najlepsze. Hope miała nie lada zadanie, próbując zorganizować przyjęcie, które połączyłoby tradycyjne żydowskie wesele z chińskim.

Dwa tysiące fioletowych lampionów świeciły nad głowami gości, zachwyconych pięknymi dekoracjami stołów. Wszędzie pełno było białych i fioletowo różowych orchidei, ich piękny zapach unosił się po sali a wysokie świece i kwiatowe ozdoby były tu wszechobecne. W kącie przygrywał weselnikom zespół, który na życzenie państwa młodych grał modne nuty i namawiał przybyłych do grania w gry i wydawania kilku drobnych dla pary młodej. Właśnie dobiegł końca pokaz chińskich ognia oraz przemowy świadków, jak i rodziców pary. Goście wstawali od stołów po zjedzeniu wspólnych dań i powoli zmierzali w kierunku parkietu, by wraz z April i Bradem zabawić się i wyszaleć.

Hope stała właśnie w kącie sali z teczką w dłoni i bezprzewodową słuchawką w uchu, pilnując, by catering wynosił do kuchni brudne talerze i napełniał puste kieliszki. Była tak pochłonięta swoim zadaniem i dyrygowaniem reszcie załogi przez słuchawkę, że nie zauważyła pojawiającego się przy jej boku mężczyzny.

— Panno Lanstor — powiedział. — Tak myślałem, że tu Panią spotkam.

Hope jak porażona, odwróciła się na pięcie, o mało nie potykając się o swe własne stopy ubrane w wysokie szpilki. Mężczyzna złapał ją pod łokieć, ale ona zaraz wyrwała się z jego uścisku i spiorunowała go wzrokiem.

— Doktorze Colin? — pisała. — Co Pan tu robi? Śledzi mnie Pan.

— Absolutnie — odparł rozbawiony. — Jestem kolegą Pana Młodego.

Szlag jasny by to, pomyślała. Nawet z dala od szpitala, Emanuela i fundacji musiała natrafić na tego łotra. Łotra, który w szarym garniturze z jasnofioletową koszulą pasującą do motta wesela, wyglądał zabójczo. Jego włosy, jak zwykle buntowały się wszelkim prawom fryzjerskim i wymykały się na przód twarzy. Oczy doktora Colina lśniły wesoło, kiedy na nią patrzył. Albo był pijany, albo miała na brodzie kroplę sosu.

— Cóż, życzę udanej zabawy — powiedziała, odwracając się od niego i na wszelki wypadek pocierając dłonią twarz.

— Tak szybko chce się Pani mnie pozbyć? — Powstrzymał ją i wcisnął do dłoni kieliszek z winem.

Co on ma z tym wciskaniem w jej dłoń alkoholu? Chce ją upić, czy jak?

— Ostatnim razem, kiedy organizowałam przyjęcie, na którym Pan był, nasłuchiwałam się kilku uwag — warknęła nieuprzejmie. — Wątpię, czy chcę je teraz usłyszeć.

Doktor Colin uśmiechnął się do niej niewinnie znad kieliszka. Upił mały łyżeczek, powoli przetarł kąciaki ust chusteczką, którą odrzucił na tacę przechodzącego obok kelnera i pochylił się do niej konspiracyjnie. Mimo całej niechęci, jaką Hope żywiła do doktora, nie mogła nie podziwiać jego pięknych oczu, kiedy były oddalone od jej twarzy zaledwie o parę centymetrów.

Szlag by go jasny trafił!

— Źle znosi Pani krytykę —szepnął.

Wściekła odepchnęła go lekko od siebie i dla własnego bezpieczeństwa, odsunęła się na krok. Czy tego chciała, czy też nie, przy nim miękły jej nogi. A to nie działało korzystnie na jej bojowy nastrój.

— Nie mam nic przeciwko krytyce, o ile jest ona uzasadniona — odparła kąśliwie, zakładając ręce pod biustem. — Pańskie uwagi natomiast są...

— Konstrukttywne — wszedł jej niegrzecznie w słowo.

Cała się nastroszyła, kiedy nie zważając na konwenanse, wyciągnął z jej dłoni kieliszek i wypił wino duszkiem. Sapnęła na to i wyszarpnęła mu kieliszek. Zajrzała do środka, po czym zbombardowała go wzrokiem.

— Wątpię — parsknęła, stawiając kieliszek na stół. — Raczej mają na celu doprowadzenie mnie do ostateczności.

Niemal wyskoczyła z siebie, kiedy dojrzała jak on śmieje się z niej pod nosem. Chryste! Ten człowiek wyzwalał w niej wszelkie pokłady złych emocji. Przy nim czuła się jak ostatnia idiotka. Do tego chorująca na jakąś nieznaną ludzkości chorobę, która objawiała się chęcią mordy.

— Doktorze Colin. Nie ma Pan nic lepszego do roboty niż gawędzenie ze mną? — zapytała z rezygnacją. — Może zajmie się Pan swoją dziewczyną?

Pluła sobie w brodę na zadanie tak idiotycznego pytania, które przez jej rozwścieczony ton, zabrzmiało odrobinę jak zarzut, bądź co gorsza, jak zazdrość.

Doktor spojrzał na nią prawdziwie zaskoczony tym pytaniem. Przechylił głowę na bok i przypatrywał się jej dłuższą chwilę.

— Nie posiadam takowej — odrzekł w końcu.

— Nie? — Tym razem, to ona była zaskoczona. — Ostatnim razem odniosłam inne wrażenie.

Patrzył na nią jeszcze kilka długich sekund, nim w jego oczach zabłyśły iskierki zrozumienia. Zaśmiał się wtedy tak, jakby coś go ogromnie rozbawiło i ponownie skradł dla nich po kieliszku wina. Ponownie z tacy, jaką niósł kelner.

— Mówi Pani o Penelope? — zapytał, nie przestając się głupio uśmiechać.

— Dokładnie o niej — przytaknęła.

— Proszę nie być zazdrosną — rzekł swobodnie. — To tylko przyjaciółka.

— Nie jestem zazdrosna — zjeżyła się i zgromiła go nienawistnym wzrokiem. — Szczerze mówiąc, zaczynałam się martwić o jej stan zdrowia psychicznego.

Znowu się z niej śmiał, a ona po raz kolejny żałowała, że była zagorzałą pacyfistką. Gdyby miała przy sobie broń, mogłaby mu odstrzelić jedynki. To zapewne powstrzymałoby go przed dokuczaniem jej.

— Doprawdy? — mrugnął do niej zaczepnie. — Dlaczego?

— Bo któż by wytrzymał z Panem i Pańskim charakterem? — rzuciła, odwracając się do niego



plecami. — Do widzenia doktorze.

Widziała, jak mierzy ją rozbawionym wzrokiem, nim zniknęła za drzwiami kuchni. Doprawdy, nikt nigdy nie działał jej tak na nerwy, jak doktor Colin. Ile by dała, by móc zamienić go na innego. Niestety ani nie chciała zmieniać kliniki, ani nie umiałaby zostawić Judi oraz Elli na pastwę tego potwora. Szkoda, że Colin nie był starym piernikiem, jak przypuszczała na samym początku. Wtedy musiałyby się z nim męczyć tylko kilka lat.

Przez resztę wieczoru, Hope kryła się niczym uciekinier z taniego kryminału w kuchni. Nie wychodziła z niej nawet na krok, o ile nie wymagała tego sytuacja, obzerając się krewetkami i łososiem w plastrach. Całe szczęście zabrała ze sobą Georginę, dzięki czemu miała na sali swojego agenta, uprzedzającego ją o wszelkich niedociągnięciach. Wyglądało na to, że miała przesiedzieć za kulisami jeszcze długie godziny, jedząc resztki z półmisków i popijając szampana.

Jedynym pocieszeniem było uniknięcie dzięki temu spotkania z doktorem. Miała już go po dziurki w nosie i obawiała się, że kolejne spotkanie z nim skończyłoby się przykro. Zarówno dla niej, jak i dla niego.

Koło trzeciej nad ranem, zwabiona informacją o kilku bardzo pijanych gościach, Hope wyszła ze swojej kryjówki i popędziła w stronę wyjścia. Zapakowała trzech kolegów pana młodego do taksówek, podała ich adresy i odesłała ich do domu. Namordowała się przy tym niemiłosiernie. W końcu ona, jak i Georgina nie były pokaźnych rozmiarów, a trzech goście nie należeli do najmniejszych.

Chwytną w dłoń zimną butelkę wody mineralnej, stanęła pod jedną ze ścian, chowając się w cieniu przed ciekawskimi spojrzeniami. Całe szczęście nie dostrzegła nigdzie doktora Colina. W duchu prosiła, by zniesmaczony jej przyjęciem wrócił już do domu. Miała nadzieję, że będzie w nim sam. W dodatku smutny.

Wstyd było się przyznać, ale tego właśnie mu życzyła.

— Czy teraz Pani ma dla mnie czas? — Usłyszała za sobą.

— Doktorze Colin — westchnęła poirytowana. — Raczej nie.

Jej zmora stanęła przed nią. Marynarkę pozostawił najwyraźniej zawieszoną na krześle, a koszulę rozpiął pod szyją. Jej rękawy zostały podwinięte, ukazując całkiem spore mięśnie przedramion. Krawat również znikł, przez co doktor Colin wydawał się o wiele bardziej przystępny i rozluźniony.

— Stoi Pani tu sama, nic nie ma Pani do roboty i zaprzecza Pani, by miała dla mnie czas? — zauważył bystro.

— A może nie chcę go z Panem dzielić? — odparła bez najmniejszej chęci ani siły na dyskusję z nim.

— Nie możliwe. — Zaśmiał się wesoło i niezrażony złapał ją za dłonie. — Zatańczmy.

— Ale...

Ale on już jej nie słuchał. Sprawnie złapał ją w tali i zgrabnym ruchem pociągnął w głąb parkietu.

Niedobitki gości tańczyły właśnie do jakiejś smętnej nuty, jaką zażyczyła sobie grupka dam i ich

partnerów. Większość była albo tak zmęczona, albo tak pijana, iż nie potrafiła trzymać się rytmu. Podrygując na niebotycznie wysokich obcasach, Hope starała się nadążyć za krokami doktora Colina i dotrzymać mu tempa.

— Muszę przyznać, że zorganizowała Pani piękne wesele — zagadnął po chwili.

— Och, doprawdy? — syknęła, patrząc zza jego ramienia na bujających się w rytm muzyki gości.

— To prawdziwy komplement z Pana strony czy kolejna próba wytknięcia mi kilku błędów?

— Mówię jak najbardziej poważnie, Panno Lanstor — westchnął najwyraźniej znużony jej zachepliwym tonem.

— I muzyka Panu odpowiada? — dopytywała.

— Tak — przytaknął powoli.

— Nie ma Pan żadnych zastrzeżeń co do szampana albo jedzenia?

— Nie.

— Niemożliwe — zakpiła, pozwalając, by obrócił nią wokoło własnej osi. — Jest Pan chory, doktorze Colin? Może ma Pan gorączkę?

— Nie, raczej nie — odparł, przyciągając ją do swej piersi.

Choć nie znosiła drania, musiała przyznać, że był wyśmienitym tancerzem. Poruszał się z lekkością i równie sprawnie prowadził ją w tańcu. Najwyraźniej odziedziczył swe ruchy po Emanuelu. I w dodatku, tak ładnie pachniał. No i wyglądał równie zachwycająco, kiedy nie nosił kitla.

— Chociaż tort, jak na mój gust, był odrobinę za słodki, ale to zapewne wina pary młodej. W końcu to oni go wybierali.

Hope o mały włos nie dzieliła go w twarz.

Nie do cholery! To ona go wybrała! Para młoda, zdała się całkowicie w tej kwestii na jej gust. Rozdrażniona wyrwała się z objęć doktora i już miała powiedzieć mu, co myśli na jego temat, kiedy na jego szczęście podeszła do nich April.

— Hope, tu jesteś — powiedziała wesoło. — Dru.

Colin jakby nic ucałował policzek April i przytulił ją krótko.

— Wyglądasz wspaniale, April — rzekł z uśmiechem, który mógłby uchodzić za szczery. — Brad to prawdziwy szczęściarz.

— Dziękuję — odparła, rumieniąc się odrobinę. — Wybaczcie, że wam przeszkadzam, ale chciałam przedstawić Hope kilku moim znajomym.

— Nie ma problemu — powiedziała szybko Hope. — I tak skończyliśmy.

Powiedziawszy to, pozwoliła, aby April odciągnęła ją do grupki znajomych zbitych pod ścianą z ustawionym tam szwedzkim stołem. Odchodząc, rzuciła ukradkowe spojrzenie za siebie i niemal jęła w duszy. Doktor Colin stał w tym samym miejscu, w którym go zostawiła, z dłońmi schowanymi w kieszeniach i wzrokiem utkwionym w jej plecach. Jego spojrzenie zdawało się mówić Hope, że on wcale nie uważa ich rozmowy za zakończonej i jak tylko nadarzy się taka

okazja, dorwie ją w swoje łapy.

Boże chroń, pomyślała i zaraz przeskoczyła na tryb profesjonalistki, gdy wraz z April stanęły w otoczeniu jej bliskich.

## SVCS I OIOM

Kolejne dni mijały Hope tak szybko, że nawet nie zauważyła kiedy a mokry sierpień znikł z kartek kalendarza, zastąpiony chłodnym i równie paskudnym wrześniem. Pierwsze jego dwa tygodnie były dla niej bardzo stresujące. Miała wiele do załatwienia i omówienia z ostatnimi w tym roku klientami organizującymi swoje wesela oraz budowniczymi, którzy zajmowali się remontem dwóch pięter starego magazynu, w którym znajdowało się schronisko dla bezdomnych i ze wstydem musiała już dwa razy odwołać jej spotkanie z Denisem i Charlotte w klinice. Dzwoniła do nich i obiecywała, że jak tylko uda wyrwać jej się chwilę od razu do nich zajrzy, a oni zgadzali się bez zająknięcia, choć słyszała w ich głosach zawód, gdy znowu musiała im odmówić.

W trzecim tygodniu miesiąca, kiedy większość spraw została wyjaśniona, a ona nareszcie nie wracała do domu grubo po godzinach, Hope miała właśnie zamiar wybrać się do kliniki. Siedziała z Samem w jej biurze, wybierając fotografie tortów, które mieli wysłać do pary młodej, ale myślami była już w klinice z dziećmi i nowymi zabawkami, jakie zakupiła ostatnio podczas zakupów w centrum handlowym.

— Co o tym myślisz? — zapytał Sam, wskazując jej jedno ze zdjęć.

— Możemy wysłać te próbki do klientki — potwierdziła, pakując klucze i telefon do torebki.

Sam przytaknął krótko, zbierając z jej biurka resztę fotografii i z życzeniem jej miłego dnia w klinice, ruszył do drzwi.

— A! — zawołała za nim. — Nie zapomnij o propozycjach kwiatów.

— Jasne. — Machnął na nią dłonią, wychodząc.

Wyciągając z szuflady na akta sporą reklamówkę, Hope zajrzała do niej. Miała nadzieję, że prezenty spodobają się dzieciakom. Dla Charlotte miała jeden specjalny. Gruby, oprawiony w twardą okładkę katalog najróżniejszych stylów dekorowania stołu. Od klasycznego paryskiego po najmodniejszy i wyrefinowany, jaki rządził w Nowym Yorku.

Nagle pukanie do drzwi wyrwało Hope z zamyślenia. Odwróciła się do uśmiechniętej w drzwiach wysokiej i kościstej brunetki o wielkich, okrągłych okularach na nosie.

— Tak Georgino?

— Judi na trzeciej — odpowiedziała asystentka, stawiając na jej stoliku szklankę soku z pomarańczy.

Odczekawszy, aż Georgina opuści jej gabinet, Hope podniosła słuchawkę do ucha, wciskając na stacji guzik z trójką.

— Hej Judi! — zawołała na powitanie.

— Hope? — Usłyszała zdławiony głos przyjaciółki.

Z miejsca włosy na karku Hope zjeżyły się, a po plecach przeszedł ją dreszcz. Przyjaciółka nigdy nie miała takiego głosu, nigdy. Choćby nie wiadomo co się działo, Judi zawsze starała się być wesoła. Tylko raz Hope widziała, jak Judi roni łzę. Tylko raz, kiedy opuściła jego gabinet.

Zabiję gnoja, warknęła Hope w myślach. Jeśli ten arogancki, napstrzony doktorek znowu jej

dogryzł, to ona już sobie z nim porozmawia. Albo jeszcze lepiej, pójdzie od razu do Emanuela.

— Co jest? — warknęła zeźlona.

— Musisz, jak najszybciej przyjechać do szpitala.

Serce Hope stanęło w miejscu na te słowa. Bezwiednie usiadła na fotelu przy biurku, czując, jak zimne dreszcze przechodzą po jej barkach i ramionach. Co to mogło oznaczać?

— Hope? — Usłyszała ciche pytanie. — Chodzi o Denisa.

Boże... Nie! Wszystko, tylko nie to. Każdy, ale nie Denis.

Nie Denis, do cholery!

— Zaraz będę — rzuciła krótko bez pożegnania.

W zaledwie minutę potem stała na parkingu, tupiąc zawzięcie obcasami o chodnik. Thomas miał zaraz po nią przyjechać. Był właśnie w kawiarni oddalonej zaledwie pięć minut drogi na pieszo od biurowca, ale każda sekunda czekania była dla Hope niczym tortura. Zimne poty oblewały ją całą na myśl, że jej małemu Denisowi mogło się coś stać, a jej przy nim nie było.

Cholera! Nie było jej przy nim! A może gdyby wsadziła tyłek w limuzynę kilka dni wcześniej i odwiedziła go w klinice, to zauważyłaby czy coś z nim jest nie tak?

Na widok czarnej limuzyny skręcającej na parking, Hope podskoczyła w zdenerwowaniu. Nim Thomas zdążył się zatrzymać, ona już sadowiła się do środka.

— Do szpitala Thomas — zawołała, zamykając z hukiem drzwi. — Szybko.

Thomas spełnił jej życzenie, wyjeżdżając na główną drogę niczym burza. Lawirował ogromną limuzyną ze sprawnością godną kierowcy rajdowego, przez co Hope o mały włos nie zwymiotowała śniadania. Jednak opłaciło się to, gdyż półgodzinną drogę przez centrum do kliniki, pokonali w zaledwie piętnaście minut.

Ze wciąż drżącymi po tej przejażdżce nogami i z gulą strachu w gardle, Hope przebiegła przez główne wejście kliniki i wymijając powoli idących pacjentów i lekarzy, niczym szalona wskoczył do windy. Jazda nią była jeszcze gorsza niż czekanie na Thomasa. Ręce pociły się jej i musiała wytrzeć je o absurdalnie drogą marynarkę, pozostawiając na niej mokre ślady. Nie interesowało to jednak Hope. Nie teraz, nie kiedy nie wiedziała, co dzieje się z Denisem.

Jak tylko drzwi windy rozwarły się na piętrze onkologii, szybko przebiegła przez korytarz i wparowała na zamknięty oddział. Nie zwracała uwagi na wołającą ją Judi czy machając do niej ze smutną miną Elli. Jedyнным celem, jaki miała przed oczami, był stojący przy drzwiach swego gabinetu doktor Colin, rozmawiający właśnie z jednym z pielęgniarzy.

— Co z nim?! — zawołała, naskakując na niego.

Doktor Colin odprawił szybko pielęgniarkę, po czym złapał ją za ramię i delikatnie poprowadził w głąb oddziału, gdzie w izolatce za wielką szybą leżał pogrążony w śnie Denis. Odchodząc, Hope spojrzała na smutną i zrezygnowaną twarz Judi. Jej lekkie kręcenie głową na boki mówiło więcej, niż Hope była w stanie na siebie wziąć.

Skupiła się jednak na lekarzu, który odczekawszy, aż kilku lekarzy ominie ich i da im chwilę prywatności, przeniósł wzrok na Hope. I jego wzrok nie pozostawiał jej ani grama nadziei, jaką jeszcze miała, jadąc tutaj.

— Dziś w nocy zebrała mu się woda w płucach — powiedział rzeczowym tonem.

Hope przymknęła powieki. Musiała odliczyć do dziesięciu, nim na powrót otworzyła je i utkwiała wzrok w doktorze.

— Jakie są rokowania? — wychrypiała.

Popatrzył na nią takim wzrokiem, że niemal zachłysnęła się śliną. Powinno to jej mówić wszystko, ale chciała usłyszeć to z jego fachowych ust, jak mówi to z tym typowym dla lekarzy, medycznym bełkotem. Ścisnęła jego ramię i przyciągnęła do siebie.

— Doktorze Colin, cholera! — pisnęła. — Jakie są rokowania?!

Doktor Colin rozmasował twarz wolną dłonią i westchnął głośno. Pociągnął ją bliżej drzwi wejściowych do izolatki.

— Doszło do SVCS. Nim zdążyliśmy przenieść go na OIOM, zapadł w śpiączkę. Jego stan jest bardzo ciężki, Hope. Wprowadziliśmy do żyły stent, ale...

— Co? — Ścisnęła jego ramię jeszcze mocniej, gdy zamilkł. — Dru, mów do mnie.

— Ma przerzuty do serca.

To zdanie było jak piorun, którym ciśnięto w Hope. Zachwiała się na nogach i tylko dzięki mocnemu ramieniu doktora Colina, nie upadła na podłogę. Przed oczami jej pociemniało, a kiedy odzyskała wzrok, poczuła, jak po policzkach spływają jej łzy. Na moment zabrakło jej tchu.

Przerzuty. Do. Serca.

Chryste...

Hope nie była w ciemnię bita. Wiedziała, że przerzuty to bestialskie potwory, które mogą zmieść z ziemi nawet największych twardzieli, a Denis... A Denis był tylko dzieckiem. Małym dzieckiem, które dopiero co przeszło kolejną chemię i ledwo to przeżyło. U niego przerzuty znaczyły jedno.

— Boże... — szepnęła, wrywając się z objęć lekarza.

Prawą dłoń przytknęła do miejsca na piersi, gdzie pod warstwą mięśni i kości, szaleńczo biło jej serce.

— Hope.

— Nie. — Powstrzymała go dłonią.

— Hope...

— Nie! — krzyknęła, tupiąc na niego jak małe, zbuntowane dziecko. — Nie teraz, doktorze Colin. Teraz muszę iść do mojego Denisa. Teraz o niego tu chodzi.

Nie czekając na pozwolenie, zostawiła doktora na korytarzu patrzącego za nią smutnym wzrokiem i weszła do pomieszczenia poprzedzającego wejście do sali, gdzie leżał Denis. Zdezynfekowała

swoje dłonie, włosy i twarz, ubrała ochronny kitel i osłony na buty, po czym po cichu weszła do sali.

Z miejsca uderzył w nią smród środków dezynfekujących i cierpki zapach krwi. Bardzo starała się nie zemdleć jednak czuła, jak z każdym krokiem, z jakim zbliża się do wielkiego łóżka Denisa, jej nogi ledwo co ciągną ją przez salę. Kiedy była już przy nim, nie mogła dłużej powstrzymać łez.

Denis niął w bieli pościeli, choć jego twarz była olbrzymia od opuchlizny a szyja cała zaczerwieniona. Z ust i żył na przedramionach wychodziły rurki, a kable podłączone do różnych maszyn podtrzymujących i monitorujących funkcje życiowe Denisa były praktycznie wszędzie. Widok ten przynosił Hope na myśl scenę z jednego z filmów fantazy, jaki widziała dawno temu w telewizji. Wtedy główny bohater przeżył, ale teraz... Teraz obawiała się, że główny bohater umrze i nikogo, oprócz tych paru osób, które go kochały, nikogo to nie obejdzie.

Usiadła u jego boku, tak powoli i delikatnie, by nie skrzywdzić go żadnym swoim ruchem, co było niedorzeczne, gdyż leżał w śpiączce i nie był zdolny niczego poczuć ani usłyszeć. Pogłaskała go powoli po chłodnej, czerwonej główce i rozplakała się na nowo, kiedy dotknęła jego zimnej jak lód rączki. Całowała każdy z małych paluszków, szepcząc mu, jak bardzo go kocha i jak dzielny musi być, by trafić tam, gdzie obiecywała mu, iż trafi, jeśli będzie grzecznym chłopcem.

— Możesz odejść — wychrypiała, a kolejne łzy skapywały na białą pościel. — Byłeś bardzo dzielnym chłopcem.

Wiedziała, że wielu innych rodziców i przyjaciół szeptałoby mu do ucha, by walczył i przeżył, ale ona jako jedna z tych, która miała za sobą tę walkę, wiedziała, że czasami trzeba przestać być egoistą i pozwolić ukochanej osobie odejść. A ona miała zamiar mu to odejście umożliwić.

— Kocham Cię, Denis — załkała. — Kocham cię, jak nikt na świecie, ale pozwalam ci odejść. Nie musisz już walczyć.

Przyciskając do swej piersi jego małą dłoń, Hope położyła się koło niego. Nie wiedziała jak długo leżała przy jego boku, nasłuchując pikania aparatury medycznej i ciężkiego dyszenia pompy inkubacyjnej a łzami mocząc poduszkę Denisa, ale nadejście doktora mówiło jej, że leżała tu stanowczo za długo.

— Chodź — szepnął, podnosząc ją z łóżka.

— Nie chcę — wyszlochała.

— Chodź — rzekł stanowczo. — Swoim płaczem mu nie pomożesz.

Przez moment chciała z nim walczyć, ale w końcu udało mu się ją wyprowadzić na cichy, jak się jej wydawało, zimny korytarz. Judi popatrzyła na nich za lady recepcji i w ciszy odprowadziła ich wzrokiem, aż zniknęli za drzwiami gabinetu lekarza. Colin podprowadził ją pod ramię do biurka i posadził na krześle, by po chwili zniknąć na korytarzu.

Hope nie zastanawiała się nad tym, dokąd poszedł. Miała to w nosie. Jedynym, co zajmowało jej myśli, to widok małego ciała Denisa, jeszcze kruchszego niż zwykle i jego zaczerwienionej główki bez włosów. Jak tylko przed jej oczami stanął obraz rurki intubacyjnej wychodzącej z jego małych ust, kolejna fala rozpacz uderzyła w Hope, uwalniając wodospad łez ściekających po jej policzkach. Podświadomie usłyszała, jak doktor Colin ponownie wchodzi do gabinetu i przystaje

przy jej boku.

— Masz — powiedział, wciskając jej do dłoni kubek z kawą i paczkę chusteczek higienicznych.

— Dziękuję — wychrypiąła, wyciągając jedną z opakowania i wydmuchując w nią nos.

Ze wzrokiem utkwionym w obcasach swych butów, usłyszała, jak przyciąga do niej obrotowy fotel. Skrzypienie skóry powiedziało jej, że właśnie usiadł i wpatruje się w nią uparcie. Nie miała teraz siły, by na niego spojrzeć.

— Wiem, że to jest dla ciebie bolesne...

— Nic Pan nie wie, Panie Colin — warknęła przez zaciśnięte zęby. — Nic Pan o mnie nie wie.

Przez chwilę panowała między nimi napięta cisza, podczas której ona wciąż patrzyła na swe stopy, a on prawdopodobnie wciąż wpatrywał się w nią. W końcu doktor przysunął się jeszcze bardziej i położył swą ciepłą dłoń na jej dłoniach ułożonych na podołku Hope. Zaskoczona podniosła na niego wzrok, dostrzegając, jak lustruje ją swoimi błękitnymi oczami.

— Wiem, że kochasz te dzieciaki — westchnął. — Nie wiem tylko, czemu.

To stwierdzenie poraziło Hope do najmniejszych nerwów jej ciała.

— Czemu je odwiedzasz Hope? — powtórzył, kiedy milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— A czy trzeba mieć jakieś powody do tego, by kogoś kochać? — odparła pytaniem na pytanie.

Gdyby to był inny dzień, inna sytuacja, zapewne już walnęłaby go w twarz. Była jednak zbyt zdenerwowana i rozżalona, by toczyć z nim boje. Nie, nie dzisiaj. Dzisiaj chciała położyć się u boku Denisa i tulić go mocno do swojej piersi i przeproszać, że była zbyt zajęta, by do niego przyjść i dostrzec, że coś się z nim dzieje.

— Powiedz mi, czemu je odwiedzasz — zażądał.

Czemu? Co to za durne pytanie?!

— Bo one są tego warte — powiedziała z mocą. — One są warte całego czasu tego świata.

Doktor długo obserwował jej twarz, jakby badał czy mówi prawdę. Następnie skinął lekko głową i podniósł się z fotela.

— Odwiozę cię do domu — rzekł, wyciągając do niej dłoń, by pomóc jej wstać.

Przyjęła jego pomoc, czując, iż jeśli z niej nie skorzysta, to padnie jak długa na swych trzęsących się nogach.

— Chcę jeszcze przy nim pobyc. — Popatrzyła mu błagalnie w oczy. — Na dole czeka na mnie mój szofer.

— Dobrze — przytaknął jej cicho. — Ale nie za długo.

Wiele godzin później, stanowczo wyproszona z sali Denisa przez doktora, Hope wysiadła z limuzyny pod wrotami swego pałacu. Jak w transie przeszła przez próg, cicho zamykając za sobą drzwi. Czowała jak jej oczy szczypią a łzy, których nie potrafiła utrzymać pod kontrolą, samowolnie płyną i płyną po jej policzkach i dekolcie. Lucius podbiegł do niej wesoło, ale jakby wyczuwając jej



nastrój, przysiadł jedynie przy jej nogach i zaskomlał żałośnie. Nie mogąc dłużej ustać na nogach, padła przy jego boku waląc kolanami o drewnianą podłogę i przytuliła się do jego masywnej szyi.

— Hope? — Usłyszała dobiegający z jadalni głos Sajmona i jego głośnie kroki.

— Tu jestem — wychrypiała ze zdartym od płaczu głosem, niepewna czy ją usłyszy.

— Boże — szepnął. — Hope! Co się stało?

Poczuła, jak mocne ramiona Sajmona obejmują ją w pasie i przyciskają do jego piersi. Kolejna lawina uczuć uderzyła w Hope sprawiając, iż sturlała się w ciemną przepaść, mocno tulona w uścisku wuja.

PO WIECEJ ZAPRASZAM NA MÓJ PROFIL <https://www.wattpad.com/user/ZoeRenneeMorin>

TAM RÓWNIEŻ ZNAJDZIECIE TO OPOWIADANIE I TO CAŁKOWICIE ZA DARMO!